Nr. 1. Warszawa, dnia 21 Grudnia 1896 r. (2 Stycznia 1897 r.) Rok XVII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 60, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

Rok 1896.

I.

„Błyskało się, ale burzy nie było“— z taką cechą przejdzie rok ubiegły do wieczności historyi. Wojny nowej, choćby dalekiej ale poważnej, któraby się w samym roku 1896 rozpoczęła, zapisać nie można; ale groźb wojennych nie brakło. Zaczął się od nich nawet rok nowy. Z południowej Afryki telegraf przyniósł wiadomość o rozbiciu d. 1 stycznia zbrojnej kupy awanturników angielskich pod wodzą Jamesona, pod Krügersdorpem na terytoryum rzeczypospolitej transwalskiej. Chcieli oni Transwal Boerom wydrzeć przez nagłe zaskoczenie Pretoryi. Rozbici, osaczeni, wzięci do niewoli, losem swym w Anglii całej wywołali taki srogi gniew przeciw ofierze, która się połknąć nie dała, że nawet sam rząd stanąć musiał w postawie przedwojennej. Dmuchnął na ogień jeszcze cesarz Wilhelm— telegramem winszującym prezydentowi rzeczypospolitej, Krügerowi, zwycięztwa nad napastnikami. Czas zgasił płomienie; rozwaga podyktowała nowy układ stosunków, szanujący niepodległość rzeczypospolitej i zwyczaje dyplomatyczne. Przed samymi sądami angielskimi wytoczono awanturnikom proces i skazano ich na łagodne więzienie. Skazanym na miejscu Krüger dał amnestyę prawie zupełną; na karach pieniężnych i wydaleniu poprzestał. Rzeczywistych sprawców-podżegaczy doścignąć nie było można. Prócz kompanii południowej angielskiej na ławie oskarżonych zasiąść byli powinni gubernator Przylądka Robinson, pierwszy minister Cecil Rhodes. Papiery schwytane przez Boerów dowiodły istnienia zmowy z figurami rządowemi.

Drugim wypadkiem wojennym był atak całej armii Baratierego w Erytrei na Menelika w Adui. Stało się to d. 1 marca. Obrawszy jak najgorszą pozycyę, generał włoski skazał wojsko swoje na zupełną klęskę. Uszło z niej niewielu, a przed wszystkimi on sam. Osiem tysięcy padło w rzezi, jaką wyprawili Abisyńczycy; dwa tysiące dostało się do niewoli. Ten pogrom pod Abba Garyma zwalił i Crispiego w Rzymie. Cała wyprawa, cała polityka zdobywcza, fundująca wielkie państwo kolonialne małymi środkami, jego była dziełem. Miejsce jego zajął Rudini, umiarkowany margrabia sycylijski. Z wybitnych do gabinetu nowego weszli Ricotti, Colombo, Venosta. Po obliczeniu się z siłami postanowiono interes afrykański zlikwidować, byle tylko jeńców wydobyć z rąk okrutnego wroga. Zajęło to dużo czasu. Pierwsza partya tych, którzy nie wymarli, w końcu roku płynęła jeszcze do ojczyzny. Stosunki polityczne ułożyły się po woli Menelika. W traktacie pokoju, zawartym dopiero w listopadzie, protektorat włoski zniesiony. Włochy przyjęły granicę rzek Mareb-Belesa-Muna, jaką zawsze negus uważał za jedynie prawowitą. Wyrzuca on Włochów zupełnie z Abisynii, zostawia im tylko Keren, w górze sudańską Kassalę, nad morzem Massawę, na południu trochę pobrzeża Harraru.

Na Wschodzie europejskim rok 1896 zastał dyplomacyę radzącą w dalszym ciągu nad najlepszem załataniem dziur w dachu i szczelin w murach państwa tureckiego. Na wiosnę poddał się oblegany od jesieni roku 1895 Zejtun. Ormianom dano pardon. Rzezie w stylu sasuńskich z r. 1895 już się nie powtórzyły. Na mniejszą skalę wydarzyły się w lecie, w południowej części ziem zamieszkiwanych przez Ormian, około Cylicyi starożytnej i na pomorzu lewanckiem. Za to w samym Konstantynopolu synowie Haifia wywołali znowu d. 26 sierpnia rozruch, przypominający krwawy dzień petycyi, 30 września 1895 r. Ormian podburzył komitet londyński. Turków — miejscowa policya. Po nagłem zaskoczeniu banku otomańskiego przez spiskowców — na ulicach miasta polała się krew uciekających przed rozjuszonem muzułmańswem Ormian. Dyplomacya ujęła się za ofiarami, zażądała sądu. Sułtan wytworzył jakąś komisyę mieszaną do zbadania prawdy: oczywiście, że owocem badania był fałsz. Turków wypuszczono swobodnie, ledwie dziesiątego lekkiem okładając więzieniem; Ormian występnych, w zmowie z napastnikami będących, znalazł sąd turecki całe setki. Dzięki niebezpieczeństwu, jakiem grozili napastnicy bankowi, pozwolono im bezkarnie się oddalić. Skazanych uwolniła amnestya, wyduszona wreszcie z sułtana przez dyplomacyę już w końcu grudnia. Objęła ona jakoby wszystkich skazańców politycznych.

Ustępstwa dla Armenii, dane jeszcze d. 6 października 1895 r. pod postacią reform mających uszczęśliwić całe państwo—mało zajmują miejsca w kronice ubiegłego roku. Posyłał sułtan do Azyi jakichś Szakirów, wydawał jakieś irada i hatty, wymawiał jakieś słowa uroczystych zobowiązań, podpisywał jakieś nominacye, robił coś, co miało być zaspokojeniem żądań przez dyplomacyę jeszcze d. 11 maja 1895 postawionych; ale w końcu już nawet dyplomacya znużyła się robotą i jakby rada była zapomnieć o obowiązku działania dla dobra uciemiężonych. Nikt ani w skuteczność, ani w samo wprowadzenie reform nie wierzy. Musiałby sułtan władzę swą przelać na delegatów—komisarzy europejskich, pozwolić im na zabranie ze sobą wojska także europejskiego — aby ze zboża obietnic mógł być jaki taki omłot lepszego losu dla Ormian i wogóle dla wszystkich poddanych, tak ojcowskiem sercem miłującego ich sułtana.

Na Krecie ruch powstańczy z r. 1895 go przeciągnął się na 1896-y. Na wiosnę ustał, w lecie Porta wykrztusiła z siebie ustępstwa, wznawiające punktacyą w Haleppie w r. 1878 przez Muktara podpisaną; dodała jeszcze zapewnienia innych warunków umożliwiających chrześcianom życie bez gwałtów i zdzierstw, a z pewnem choćby najskromniejszem prawem do samodzielności i samorządu. Pracowali nad tem dyplomaci usilnie, a chcąc sułtanowi dać dowód lojalności swych dążeń, myśleli nawet urządzić blokadę Krety—przeciwko Kreteńczykom już, nie przeciwko Turkom. Pomysł ten nie utrzymał się. Muzułmanie wyspy zaczęli tedy radzić we wspólnem z chrześcianami zgromadzeniu, zaczęli też i potajemnie radzić między sobą przeciwko wyznawcom krzyża. Sułtan i Porta korzystali z nienawiści i niechęci miejscowych, aby opóźniać i przeszkadzać. Jakiś Eddin, przysłany w nieokreślonym charakterze ze Stambułu, do pomocy gubernatorowi Berowiczowi, człowiekowi dobrej woli — podsycał nienawiść i niechęć i odbywał schadzki tajemne z fanatykami. Tego przynajmniej dokazała dyplomacya, że go, już w grudniu, odwołano. Rozruchów od lata nie było, i zdaje się, że chyba tylko wielki gwałt muzułmański mógłby je teraz na nowo wywołać.

Tydzień polityczny. Przed samemi świętami sułtan dał amnestyę wszystkim Ormianom skazanym z powodu rozruchów i knowań politycznych, oraz zamachów zbrojnych, a zwłaszcza bójek i rzezi w d. 26 sierpnia r. p. na ulicach Konstantynopola. Z przebaczenia korzystają nadto i ci nieliczni Turcy, którzy, *in flagranti* w wypadkach sierpniowych na mordowaniu Ormian schwytani, wywinąć się już nawet z rąk sprawiedliwości tureckiej nie zdołali. Patryarcha nowy, Ormanian, wstawił się za skazanymi ziomkami i jego suplikę włączyć kazał sułtan w swój własny akt miłosierdzia. Akt ten ma przecież skazę: sułtan wydał go przed warunkiem współdziałania patryarchy w rozwiązaniu głównego komitetu armeńskiego, a sam ten warunek jest spornym: Turcy twierdzą, że rozwiązanie komitetu poprzedzić winno spełnienie łaski; Ormianie — że same tylko starania podjęte przez patryarchę do urzeczywistnienia amnestyi wystarczają, bezskuteczność ich nie powinna znosić dobrodziejstwa. Jest to i pogląd dyplomacyi Podzieli go i sam sułtan. Amnestya uwięzionym tylko daje przebaczenie zupełne; skazani na śmierć otrzymują karę więzienia dożywotniego.

P. Nelidow już po świętach złożył na ręce sułtana memoryał mocarstw w sprawie potrzebnych zmian w administracyi wraz z planem finansowego podniesienia Turcyi.

Na Kubie Garcia, jedyny już po skonie Macea wódz powstania, odniósł w okolicach Bayamo, pamiętnego osaczeniem jednego z generałów hiszpańskich w lecie r. p. nad 2,000 Hiszpanów zwycięstwo, które przyprawiło ich o stratę kilkunastu oficerów i stu kilkudziesięciu żołnierzy i podniosło znakomicie ducha powstańców.

W Serbii wybuchnęło przesilenie ministeryalne na tle polityki zewnętrznej i ogólnego kierunku rządów, ale za powód posłużyło mu uchwalenie przez skupczynę nowego kodeksu procedury cywilnego, którego król podpisać nie chciał. Prezes, Novaković, szorstką notą w dzienniku urzędowym obraził króla — i nieodwołalnie już ustąpić musiał. Twierdzenie jego, że polityka serbska zaczyna się teraz przechylać do Austryi, nie jest może bezzasadnem. Do utworzenia nowego ministeryum powołał król Zimicza, posła w Wiedniu.

Proces morderców Stambułowa, ciągnący się od d. 22 grudnia, ujawnił przez zeznanie świadków winę Halu, Tiufekczyewa i Bonego Georgiewa: wszystkich ich wskazał sam Stambułow na śmiertelnem łożu. Wdowa odmówiła zeznań, domagając się kary na istotnych sprawców, których szukać potrzeba — w rządzie. Pomimo silnego roznamiętnienia polityczego skazanie wydaje się prawdopodobnem: ale również prawdopodobną jest i łaska zmieniająca przewidywaną karę śmierci na więzienie.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

CZEM ZASTĄPIĆ SZYNKOWNIE?

Upaństwowienie handlu spirytusem, zapowiedziano na rok przyszły w Królestwie Polskiem, wywoła wielki przewrót nietylko w stosunkach ekonomicznych, ale i nawyknieniach tudzież nałogach ludu miejskiego i wiejskiego. Szynk i karczma muszą upaść, gdyż będą jedynie sklepy skarbowe, sprzedające gorzałkę na butelki. Kieliszki pozostaną tylko w jadłodajniach pierwszorzędnych, nieprzystępnych dla ludu. Skutkiem tego zrodziło się pytanie, czem zastąpić szynki? Nie chodzi tu o równoważnik — zachowanie dotychczasowych sposobów podniety. Monopol spirytusowy nie usunie picia i upijania się gorzałką, czyli t. zw. alkoholizmu. Zmieni się tylko, że tak powiemy, jego strona dekoracyjna, jak tego były wymowne przykłady. Kiedy w wielu miejscowościach jeszcze przed wprowadzeniem sprzedaży skarbowej zniesiono picie gorzałki na miejscu kwaterkami („czarkami"), chłopi sobie poradzili w inny sposób: niejednokrotnie widzieliśmy podczas świąt we wsiach małoruskich gromady włościan o parę kroków od szynku pijących wódkę, kupioną w butelkach. Powietrze świeże niewątpliwie usposabia do wypijania większych ilości, przyczyny zaś pijatyki, urządzanej w pobliżu szynku, trzeba szukać w nawyknieniach ludu. Chce on mieć przed sobą ten zakład, który dał mu wiele błogich chwil zapomnienia i wiele nieszczęść zgotował.

Obecnie *Warsz. Dniewnik* podaje takie same fakty z tych miejscowości, gdzie już wprowadzono monopol: „Włościanie, nie mogąc pić wódki w sklepie skarbowym, piją na ulicy, czemu sprzyja to, że minimalna ilość gorzałki tam sprzedawanej w większości wypadków jest bardzo droga dla jednego włościanina, więc dobiera on towarzyszów i za składkowe pieniądze nabywa butelkę wódki. Po podziale telez na równe części, każdy z towarzyszów wypija swą porcyę tuż na ulicy o kilka kroków od sklepu." W niektórych wsiach za Kowlem autor widział takie pijatyki włościan, wracających następnie do domu na czworakach. „Z tem złem walczą komitety wstrzemięźliwości, lecz nic poradzić nie mogą." Ta pijatyka na świeżem powietrzu wytworzyła nawet osobną gałąź przedsiębiorstwa. Jak wiadomo, korkociąg u chłopa jest sprzętem bardzo rzadkim. Gdy zaczęto sprzedawać butelki okowity zakorkowane i zapieczę-

---

1) NAPOLEON ROUDA.

TRYPTYK.

I.

Za ścianą lasu kryje się już zwolna tarcza słoneczna, śląc coraz rzadsze i coraz krótsze, choć oślepiająco połyskliwe promienie między szeregi pni sosnowych na niewielką polankę, wśród której widnieją zrujnowane zabudowania ubogiego zaścianka.

Polana, obejmująca zaledwie kilkanaście morgów ziemi ornej i ogrodów, z jednej strony kończy się kawałkiem łąki nad brzegiem przyległej rzeczułki, ze wszystkich innych — jak w ramy ujęły ją w uścisk brzegi lasu, to jakby murem drzew starych, to kępami zarośli i krzaków.

Za rzeczułką ciągnie się wygon rozległy, zarosły miejscami olszyną aż do czarniejących na wzgórzu budynków, które stanowią wioskę sąsiednią.

Zaścianek z wioską łączy zaledwie widoczna drożyna, której trzy wyraźne pasy, naznaczone przejściem kół i kopyt końskich, bieleją jak wstęgi na tle ogólnej zieloności. Drożyna ginie na chwilę w rzeczułce, lecz ukazuje się wnet za nią już na wioskowym smugu, rozstrzelona w kilka splątanych śladów, a potem znowu wyraźna prowadzi między chaty wioskowe.

Przez tę drogę jedyną zaścianek łączy się ze światem: tędy płyną odgłosy życia szerszego, wszystkie wieści smutne i radosne, tędy wchodzi rzadkie zapotrzebowanie jego mieszkańców, jak niemniej wychodzi wszystko, cokolwiek zaścianek może wytwarzać.

Sam zaścianek i wszystko, co go otacza najbliżej, świeci ruiną i upadkiem, choć tchnienie wiosny tak silnie i ożywczo daje się uczuć dokoła, i w tej ścianie okalającego lasu, i na tym kawałku łąki, gdzie się już kłębią po nad ziemią lekkie opary, w każdym nawet podmuchu wiatru, który niesie skądś, zdala, zapachy ziemi świeżo zoranej, pierwszych kwiatów wiośnianych i pączków drzewnych.

Rola i ogrody leżą odłogiem w brzydkiem, brudno-żółtawem przeszłorocznem ściernisku i zbutwiałych liściach.

Wykrzywione budynki, z poobdzieranemi strzechami, okalają ze wszech stron równie obdarty domek mieszkalny, który niewiele się różni od zwykłej chaty wieśniaczej. Wszędzie brakuje płotów, których smutne resztki sterczą tu i owdzie, znacząc rozgraniczenia ogrodu warzywnego i sadku od gospodarskiego podwórka i pola.

A nad tem wszystkiem górują dwie, nagie jeszcze, prastare lipy i pochylony żóraw studzienny, jak smutne krzyże mogilne tego zniszczenia i upadku.

W miejscu, gdzie drożyna się kończy, ginąc w obszernem gnojowisku, na całem podwórzu, gdzie tylko jeden słupek spróchniały świadczył, iż i tu niegdyś były wrota, stoi wysoki i barczysty mężczyzna, którego twarz młoda i ładna stanowi wymowny kontrast z całem otoczeniem. Ma on na sobie tylko koszulę i spodnie z grubego, szarego płótna. Skromne to okrycie doskonale daje widzieć prawie atletyczne jego kształty.

Jasne, niebiesko-płowe oczy, bez wyrazu, jakby senne, skierowane w dal gdzieś za rzeczułkę, o włosach i zaroście koloru lnu, świadczą o dziecięcej niemal prostocie i łagodności tego olbrzyma.

Skrzypnęły drzwi i przed chatę wybiegła dziewczyna, równie ładna, lecz drobniejsza i o wiele strojniejsza od mężczyzny. Wstążki wplecione w krucze jej warkocze, paciorki okalające szyję w kilku rzędach i jaskrawy fartuszek, tworzyły w połączeniu z błyszczącym wzrokiem i ciemnym rumieńcem jedyną barwną

towane, chłop znalazł się w kłopocie. Nie wypadało całej gromadzie chodzić od chaty do chaty w poszukiwaniu korkociąga: odbijać szyjki również nie warto, bo za butelkę całą można kilka groszy otrzymać. Wobec tego braku wielkie powodzenie znaleźli specyaliści z korkociągami, którzy za dobry łyk gorzałki otwierali butelkę. Ci ludzie, gotowi do usłu stoją cały dzień przed sklepem i każdej gromadzie proponują swą pomoc. Częsta zapłata w naturze robi to, że pod wieczór właściciele korkociągów padają bez czucia.

Monopol spirytusowy nie jest tedy środkiem zapobiegawczym, bo trudno przecież wymagać, żeby zmiana formy handlu usunęła pijatykę. Zniesie ona jedynie szynk i karczmę w dzisiejszej typowej postaci, tj. źródła nietylko alkoholizmu, lecz i rozrywki, miejsca zapomnienia trosk codziennych. Lud miejski i wiejski nawykł do tych zakładów; stały się one trudnym do przezwyciężenia nałogiem jego życia. Tam zapomina o chorobie i nędzy w domu, o niesnaskach rodzinnych; tam pogawędzi z sąsiadem; a chociaż nieraz ostatnią sukmanę zastawi, choć stanie się pastwą pokątnego doradcy lub innego oszusta, nie może się jednak oprzeć nałogowi — idzie do karczmy, gdy znajdzie chwilę wolną.

Pomimo jednak że ten przybytek „wytchnienia" jest „resursą chłopską," pomimo że daje możność pogawędzenia z towarzyszami i zapomnienia o troskach domowych — nie jest pożądany, bo zarazem stał się źródłem (nie jedynem) alkoholizmu i nędzy, wyzysku i poniewierki, bo jest niejednokrotnie miejscem utarczek i zbrodni, wynikłych na tle podniety gorzałką. Trzeba więc cieszyć się, że te zakłady będą zniesione, ale zarazem należy pomyśleć o innych, któreby zadośćuczyniły moralnym potrzebom ludu.

O takich „resursach" mówiono już nieraz, a nawet próbowano je urządzać. Zygmunt Gloger w opisie swojej wioski idealnej umieszcza ten zakład w budynku szkolnym, a raczej jego połowie, który latem jest ochronką dla drobnej dziatwy, zostawianej przez rodziców, zajętych w polu. Tam w święta i wieczory zbiera się kapela wiejska; nauczyciel miewa pogawędki, pożyteczne i ciekawe dla dorosłych — o sposobach gospodarowania rolników w innych krajach, o osiąganiu większych plonów z gorszej niż u nas roli, o tajemnicach utrzymania czerstwego zdrowia itd. Latem rozrywki i pogawędki odbywają się w cieniu, na świeżem powietrzu.

Obecnie pisma podały aż trzy projekty zastąpienia szynków i karczem. Jedni proponują piwiarnie lub herbaciarnie, inni — „gospody" we wsiach. Piwiarnia jest pomysłem niefortunnym, bo jakkolwiek doradzany trunek byłby tani i słaby, pociągałby on te same skutki, co i obecnie użycie trunków w szynkowniach; wypijanoby go tylko znacznie więcej, niż dzisiaj. Herbaciarnie mają większą racyę bytu. Widzieliśmy je w miastach Cesarstwa zawsze przepełnione ludem robotniczym. Zapewne jest tam używana herbata najlichsza, może czasem odwar z jakich innych listków fałszowanych, ale nawet i takie ziółka są zdrowsze, niż napoje alkoholowe. Zresztą herbaciarnie pod odpowiednią opieką sanitarną mogłyby dawać chociaż tanią, lecz prawdziwą herbatę. W Cesarstwie są dwa typy takich zakładów: jedne, urządzone przy targach miejskich, ściągają ludność wiejską, przybyłą z produktami spożywczymi. Tam oprócz herbaty są i zakąski, więc rodzaj garkuchni bez trunków. Inne — służą dla rozrywek i wytchnienia ludności miejscowej. Są tam książki, gazety, szachy, warcaby tudzież instrumenty muzyczne, przystępne dla ludu. W herbaciarniach tego typu — jak pisze *Warsz. Dniewn.* — można urządzać pogadanki popularne, obrazy niknące itd. Ale to już przekracza środki przedsiębiorcy prywatnego. Należałoby tego rodzaju resursy ludowe tworzyć siłami zbiorowemi.

Taki typ gospód w mieście i na wsi proponują niektóre nasze dzienniki. Jest on nawet tu i owdzie wypróbowany. Należałoby tylko w tych zakładach skupić wszystko, co może być najpożyteczniejsze dla ludu: czytanie, pogawędki, zabawy i wszelkie rozrywki. Trafna jest rada, ażeby przy gospodach na wsi zakładać sklepiki. *Warsz. Dn.* proponuje sposób podobny jak Gloger w jednej ze swoich książek: urządzanie gospody przy szkole, gdzie nauczyciel byłby jednocześnie gospodarzem i mógłby pożyteczne pogadanki wygłaszać.

W powodzi projektów i wskazówek na uwagę zasługuje wniosek *Gazety Polskiej*, ażeby przed urządzeniem herbaciarni, czy gospód zbadać przed tem warunki miejscowości, nawyknienia i usposobienia ludu. Pismo to powołuje się na przykład, że w gub. Kieleckiej na rynkach można już i dzisiaj widzieć samowary, buchające parą w zimie. Latem zaś lud wypija tysiące butelek wody sodowej. „Objaw ten wskazuje, iż w okolicy herbaciarnie będą miały powodzenie i że reforma da się przeprowadzić bez osobliwych trudności. Nie wszędzie jednak można znaleźć podobną prostotę arkadyjską ludu." W kilkomilowym promieniu Warszawy, po usunięciu Żydów z posiadłości włościańskich, pozamykano mnóstwo karczem wiejskich. Tak np. w pow. Nowomińskim chłopi przeważnie zamożni i prowadzący korzystny handel deskami, z bardzo małymi wyjątkami pogardzili procederem szynkownianym. W wielu miejscowościach karczmy poznikały zupełnie, a pomimo to trzeźwość prawie nic nie zyskała. Włościanie przy lada okazyi sprowadzają wódkę z osad odległych nawet o milę, podczas zjazdów świątecznych raczą się obficie tym trunkiem. Piwo zaś, dostarczane z Warszawy w półantałkach, zawożą do domu, „ażeby jeszcze tego samego dnia wychylić je do kropli." W tych okolicach — zdaniem *Gazety Polskiej* — zakłady z samą herbatą i wodą sodową

---

i wesołą plamę na smutnem i szarem tle ogólnem zaścianka.

Z niedokończoną piosnką na ustach dziewczę stanęło przy boku olbrzyma.

— A co, nic widać? — zwróciła się z pytaniem.

— Nie ma — krótko odparł młody człowiek.

— To chodź na wieczerzę, nie doczekamy—rzuciła, ujmując stojącego za ramię.

On w milczeniu i obojętnie spojrzał na nią, nie widząc, i stał dalej nieruchomy.

Łatwo można było poznać, że są rodzeństwem, choć różnili się tak bardzo kolorem włosów i temperamentem. Od dorodnej i ślicznie zbudowanej dziewczyny bił nadmiar życia i sił, który jak rwący potok groził co chwila zerwaniem pęt, a od mężczyzny szło wrażenie siły, lecz takiej cichej i tak gdzieś w głębi ukrytej, że raczej snem się wydawała...

— Chodź, Janku, przyniesiesz mi wody, a później strąć tam skąd nieco słomy, aby choć trochę krowy pokarmić, kiedy je będę doiła — zachęcała siostra energicznie.

— Dobrze, dobrze — odparł nagabywany, nie zmieniając postawy.

Dziewczę zniecierpliwione już miało odejść.

— Józia! — zatrzymał ją brat wołaniem — wszak to pojutrze święty Jerzy?

— A tak! W Czepieliszkach mamy kiermasz doroczny, na który trzebaby nam, jak zawsze, pojechać; nieprawdaż, braciszku? — przymilała się do brata.

Jan tylko smutnie westchnął, objął jednem spojrzeniem puste poletki i ogrody, a głową pokiwał w bolesnej zadumie.

— Porzućże to swoje biedowanie! Tatuńcio mówił, że wszystko na dobre się obróci — pocieszyła Józia brata doraźnie i pobiegła do chaty.

A olbrzym mruczał do siebie:

— Ojciec mówi, że to będzie nasze i ten zaścianek i to pole i łąka, ale kiedy? Codzień większa bieda i więcej potrzeb. Ot i święty Jerzy, a my nie możemy ruszyć na pole, bo woły żydzi zabrali, a kobyłę to pewnie on sam zamęczy w tej ciągłej włóczędze.

Machnął ręką i posunął się ku chlewom.

Z lasu, na przełaj przez pole, biegło z porykiem wygłodzone bydło, które skąpo jeszcze się mogło pożywić w lesie lub na polu. Były to cztery małe, chude, obrosłe błotem i gnojem krowy i siedmioro młodzieży, zbiedzonej w ciągu długiej zimy.

Zwierzęta otoczyły wnet człowieka, snadź go znając i jemu znajome, wyciągały gęby, jakby z prośbą o jadło, o jaki zasiłek.

Jan zrozumiał tę niemą prośbę i po chwili namysłu ujął kawał żerdzi z resztek chróścianego płotu, którą zaczął strącać półzgniłe snopki słomy ze strzechy niewielkiego świronka.

Bydło łapczywie rzuciło się na słomę.

Za chwilę przyszła Józia ze szkopkiem w ręku i przysiadała po kolei u wymion czterech krów, podczas gdy brat rozwiązywał snopki, ułatwiając w ten sposób bydlętom dostęp do zdrowszej i pożywniejszej słomy.

— To i wszystko! — ze złością wykrzyknęła Józia, pokazując Janowi naczynie, zaledwie do połowy napełnione mlekiem.

Odpowiedział tylko niemem ruszeniem ramion.

Od rzeczki doleciały do nich w tej chwili głosy ludzkie i plusk wody. Obejrzeli się w tę stronę jednocześnie.

Już na drożynę wyjechała z wody jednokonna kałamaszka, w której siedziało dwóch mężczyzn.

— Kogóż to ojciec do nas wiezie? — zapytała dziewczyna z żywem zainteresowaniem w głosie; lecz Jan tego pytania zdawał się nie słyszeć.

On patrzał wtedy na strzechę świronka już w połowie obdartą i biedził się w myślach, czy ta ich kobyła, wracająca do stajni, zechce podzielić z krowami tę jedyną strawę, jaką mógł jej ofiarować.

(której tam lud prawie wcale nie używa), nie miałyby zapewnionego odbytu; reformatorzy więc musieliby działać tu jako filantropi, gdyż procederzyści naraziliby się na niechybne bankructwo.

Pod Włodawą, Białą siedlecką, Janowem itd., lud osiadły na piaskach mało urodzajnych, herbaty prawie nigdy nie pija, o wodzie sodowej niema wyobrażenia; natomiast wódka i piwo są jego ulubionymi trunkami. W okolicach Pinczowa i Buska można znaleźć wsie, w których pewna liczba włościan „odprzysięgła się od wódki“ i pije piwo. W innych wsiach lud niezamożny (z powodu rozdrobnienia własności), lecz oświecony, nie przestając pić piwa i wódki nie pogardza herbatą, a nawet ją lubi. „To też — pisze gazeta — jeżeli monopol wódczany ma być środkiem tamującym pijaństwo, piwiarnie i herbaciarnie wiejskie powinny być urządzane oględnie. Gdy w jednej wsi np. dałyby się wprowadzić wyłącznie herbaciarnie, w innych trzeba je łączyć z piwiarniami. Lud wogóle nie rychło odstępuje od swoich przyzwyczajeń; przymusu w takich razach znosić nie zechce i tylko stopniowo do najpożyteczniejszych nawet zmian w trybie życia nakłaniać go trzeba.“

Doradcy i projektodawcy, zastanawiając się nad pytaniem: czem zastąpić wódkę — zapomnieli jeszcze o napojach owocowych, zdrowszych niż wszelkie gatunki piwa, zawierającego możliwie najmniejszy procent alkoholu. Gdyby potrafiono zachęcić lud do tych napojów, niewątpliwie zasmakowałby on w nich, a co najważniejsza — rozwinęłaby się w kraju przetwórczość owocowa.

Wszelkie atoli marzenia o skutecznej walce z alkoholizmem za pomocą, jak rzekliśmy, zmiany handlu gorzałką lub za pośrednictwem herbaciarni i innych zakładów tego rodzaju, pozostaną niezieszczalnemi, a ktoby chciał temu wierzyć lub usiłował przeciwdziałać klęsce za pomocą takich środków, ten wykazałby powierzchowne traktowanie zjawisk społecznych i ich przyczyn.

Z GALICYI

Reforma ustawy prasowej. — „Kruczki“ austryackie. — Co myśli Koło? — Bukowina — Mowa posła Stefanowicza. — Geniusz niemiecki. — Grzeczność naszych ministrów. — Ład i porządek w Galicyi. — Fundusz religijny i administracya. — Wizyta ministra Ledebura i jego marszałka. — Toporowce. — Leśnictwa. — Przemysł Bukowiny. — Konserwacya pamiątek. — Biliński w obronie kolegi.

W wiedeńskiej Radzie państwa wysuniętą została na porządek dzienny reforma ustawy prasowej i po krótkich rozprawach odesłana do komisyi, gdzie niezawodnie będzie traktowaną przychylnie i prawdopodobnie przejdzie w Izbie poselskiej. Piszę o niej dlatego, że teraźniejsza ustawa krępuje w wysokim stopniu rozwój prasy w Austryi, a przedewszystkiem w Galicyi.

Mówimy i piszemy bardzo często o swobodzie prasy w Austryi — jest to absolutną nieprawdą. Ustawa zasadnicza posługuje się wprawdzie wyrazem: wolność — nietylko względnie do prasy — ale tak tę wolność krępuje na każdym kroku, że zatraca się niekiedy zupełnie granica między prawem a bezprawiem. Więcej nawet powiem: niejaka wolność panuje tam, gdzie jej bronić umieją—w Wiedniu i Peszcie, a w krajach tak zwanych „koronnych“ gospodaruje prokuratorya z policyą zgodnie i wytrwale.

Sprawa reformy tych stosunków peryodycznie przychodzi na porządek dzienny w Radzie państwa. A trzeba przyznać, że zawsze coś da się w niej utargować. Przed kilku laty zdołano wymódz usunięcie zwyczaju składania przez redaktorów kaucyi na ręce i w danym razie do dyspozycyi rządu. Zdarzało się bardzo często, że kapitał, który mógł być użytym na wydawnictwo, leżał w kasie, a one chromało. Prasa prowincyonalna również nie mogła się rozwinąć. Nie było ani należytego, ani prawidłowego związku między centrami administracyjnemi i politycznemi a prowincyą.

Zniesiono wreszcie kaucyę i odrazu powstało około dwudziestu pism, zaliczających się wprawdzie do dzienników t. z. „młodych,“ ale przez to pożyteczność ich bynajmniej się nie zmniejszyła.

Teraz na prasie austryackiej, a przeważnie prowincyonalnej, do której i nasza należy, ciążą jeszcze rozmaite „kruczki“ austryackie, mianowicie: stempel dziennikarski, zakaz kolportażu, tak zwana „objektywka,“ czyli możność wytoczenia procesu przez władze — o co się podoba, wreszcie paragraf 19-ty, dający prawo każdemu zaprotestować na razie przeciwko podanej wiadomości, chociażby ona była słuszną i prawdziwą. Nie dość tego, że redaktor zmuszony jest zamieścić t. z. „sprostowanie,“ lecz posiada ono jeszcze humorystyczną formułę, za pomocą której można sprostować nie istotę rzeczy, lecz wyraz użyty. Często bardzo czytać można tego rodzaju „zaprzeczenia“: „Nieprawdą jest, jakoby kasyer, p. X., sprzeniewierzył pieniądze bankowe, prawdą natomiast jest, że w kasie pieniędzy zabrakło i księgi wykazują deficyt.“ Bezmyślność biurokratyzmu austryackiego przechodzi wszelkie pojęcie; obraca się on dotychczas jeszcze w tych samych formułach jozefińskich, które stworzyły dla niego podstawę. Gdyby sprostowanie było wynikiem wyroku sądowego—inna rzecz, ale ono występuje przed wyrokiem i używa się w celu bałamucenia opinii publicznej.

Stempel dziennikarski oraz rozmaite dodatki zwiększają koszt wydawnictwa dziennika o czwartą część ceny, a zakaz kolportażu zamyka jedną z najłatwiejszych dróg odbytu. Obliczono, że dziennik płaci rządowi tyle za stemple, ile wynosi podatek od tysiąca morgów ziemi.

Jest wszelka nadzieja, że przeszkody, stojące na drodze rozwoju prasy, zostaną usunięte. Rada państwa jest dla reformy przychylnie usposobiona; tylko Koło polskie, jak zwykle, zajęło stanowisko wsteczne. Mówię o jego większości. Hr. Wodzicki niezadowolony z dziennikarstwa, bo za jego wpływem chłopów wybierają do Rady państwa, którą Pan Bóg dla panów tylko stworzył. Abrahamowicz jest przeciwny zniesieniu stempla i kolportażowi, a nie może zrozumieć, dlaczego w obronie prasy występują ci właśnie posłowie — miał na myśli Szczepanowskiego i Rutowskiego — których prasa najwięcej szarpie. Skończyło się na tem, że mądry przegadał, ale — Stańczyk pobił. Koło uchwaliło głosować przeciw ustawie, żądającej natychmiastowego zniesie-

---

Kalamaszka wkrótce stanęła przed nimi. Z dwu siedzących jeden był siwym starcem, o żołnierskiej postawie, ubrany w kapotę podbitą baranami, której lewy rękaw bujał swobodnie od łokcia, nie znajdując oparcia wewnątrz, a drugi — młodym chłopem w łapcie i dostatni kożuch ubranym.

— Janie, wyprzęż kobyłę! — rzucił starzec krótki rozkaz synowi — my zaś, Teodorze, pójdziemy do chaty.

Przed starcem stała już Józia i wzrokiem zdawała się pytać, co zacz ten nieznajomy przybysz.

— Oto moja córka i gospodyni — pochwalił się stary, z zadowoleniem patrząc na hożą dziewczynę, a Teodor powoli zdjął z głowy czapkę i witał po chłopsku dziewczynę życzeniem dobrego wieczora.

Weszli do chaty już w tej chwili prawie ciemnej w jednej połowie, a w drugiej — tylko słabo oświetlonej dogasającem ogniskiem na kominie.

— Józiu, dajże nam światła i jeść, co masz — zwrócił się ojciec do córki raczej z prośbą, niżli rozkazem, w drżącym, ochrypłym głosie.

Dziewczyna raźno podbiegła z małą lampką, którą postawiła na stole. Wtedy Teodor zbliżył się do stołu i zaczął na nim układać zapasy, dobywane z za kożucha: butelkę wódki, kilkanaście bułek, kółko kiełbasy i dwa śledzie.

Poczem oblizał palec i nie odrywając oczu od tych przysmaków, siadł na ławie pod oknem.

Starzec, Dominik Garbiel, gospodarz zaścianka, zdjął kapotę i zbliżył się do córki, stojącej przed kominem. Pogładził ją po głowie i ramionach i coś szeptał półgłosem, co jednak nie zdawało się robić przyjemności Józi, bo nie kryła się z niecierpliwością i nadąsaniem.

Teodor siedział nieruchomy, nie czując potrzeby zrzucenia kożucha, i wodził ciekawemi oczyma po izbie i jej ubogich sprzętach.

Do chaty wszedł Jan, a zaraz potem i kilkonastoletni wyrostek w łapciach i obdartej siermiędze. Był to pastuszek, jedyny obcy najemnik w zaścianku.

Józia postawiła na stole ogromną misę zacierek, zabielonych mlekiem i spory kawał czarnego chleba z nożem w środku utkwionym, gospodarz zaś z kieliszkiem w ręku postąpił do gościa.

— Napijmy się! — i wychyliwszy kieliszek, podał go powstającemu ponownie nalany.

— Janie — zwrócił się do syna — to nasz połownik, którego sobie przyjmuję od ś-go Jerzego. Teraz nam już lepiej pójdzie cała gospodarka.

— A wiadomo! — potwierdził Teodor ochoczo, po spełnieniu kieliszka, posuwając się z nowonalanym do Jana.

— Nie piję — odparł ten trochę gniewnie, ze zdziwieniem patrząc na ojca.

Lecz snadź przyzwyczajony do podobnych zagadek z jego strony, ani jednem słowem nie zdradził się, co myślał o tym połowniku, z którym odtąd mieli dzielić na dwoje to, co dotąd dla nich samych nie wystarczało.

Do stołu przysiadła się Józia z oddzielną miską dla siebie, pastuszek zaś został przy kominie i tam, stojąc przed ogniskiem, grzał się i zajadał swoją porcyę wprost z garnka.

Brat i siostra zabrali się do zacierek i czarnego chleba, zgodnie odrzucając proponowaną sobie wódkę i miasteczkowe specyały.

Teodor zdawał się tem mocno zdziwiony, lubo cieszył się w myśli, że cały poczęstunek pójdzie na niego i starego Garbiela. Krzątali się tedy tak energicznie koło butelki i zapasów, że już po upływie półgodziny prawie nic na stole nie zostało.

(D. c. n.)

nia stempla. Idzie ono znowu wbrew żądaniu całego społeczeństwa; nic przeto dziwnego, że ogólnej sympatyi nie posiada.

Pomimo to wszystko komisya wypowiedziała się za zniesieniem stempla. I bardzo być może, że ustawa, wbrew opozycyi Koła, przejdzie.

Nasuwa się wszakże maleńka wątpliwość, która może wszystkie nadzieje rozbić. Bieżąca sesya Rady państwa kończy się wkrótce, a projekt reformy pójść musi jeszcze pod obrady Izby panów — powstaje przeto pytanie, czy ta go zatwierdzi. Rzecz wątpliwa bardzo. Jeżeli nie zatwierdzi, wówczas Radzie państwa wypadnie znowu zająć się reformą — po dniach wielu i po latach wielu.

Kilkakrotnie starałem się zapoznać czytelników *Prawdy* bodaj pobieżnie ze stosunkami i warunkami życia, istniejącymi na Bukowinie. Jest to kraj pograniczny z Rumunią, posiadający ludność mieszaną, złożoną z Rusinów, Polaków i Rumunów. Niemcy austryaccy, wyparci z pozycyj słowiańskich, umiłowali sobie ten głuchy kątek i szczepią tam swoją kulturę. Naturalnie rozpoczęło się od tego, że śród ludności rdzennie słowiańskiej zaprowadzili rząd niemiecki, szkoły niemieckie i zaczęli gospodarować — przy pomocy oddanych sobie ludzi.

Rąbek tajemnicy tego gospodarstwa uchylił niedawno poseł bukowiński, dr. Stefan Stefanowicz. Wstęp mowy swojej, bardzo ciekawej i faktycznej, poświęcił scharakteryzowaniu ogólnego położenia Galicyi i Bukowiny w porównaniu z Bośnią. Rozpoczął on od — nędzy w Austryi. Jest to o tyle charakterystyczne, że mówił o tem nie jakiś warchoł, któremu kością w gardle stanęły lojalne rządy stańczyków i ich adjutantów, ale człowiek stojący po za stronnictwami politycznemi, patrzący na stosunki tutejsze nie z wysokości wieży Maryackiej, ale z niziu życia codziennego. Gdy się w Austryi mówi o nędzy — powiada poseł — każdy ma na myśli Galicyę i Bukowinę. W Galicyi Wschodniej od szeregu dziesiątków lat nic się nie zmieniło na lepsze; wszystkie rządy, wszystkie gabinety okazały zupełną nieznajomość stosunków tego zakątka. Mężowie stanu, którzy stali dotychczas na czele państwa, pochodzili zwykle z zachodnich kresów Austryi, z uprzywilejowanej rasy germańskiej — butnej i zarozumiałej. Słowian uważali za barbarzyńców, niezasługujących na to, ażeby państwo popierało ich pracę. Europa kończyła się u nich na Krakowie. Dalej — według Sacher-Masochów i Franzosów — rozpoczynała się *Halbasien*. Tam już nie ma żadnej kultury — tylko jakieś puszcze, stepy, dzicy ludzie, wśród których dopiero trzeba zakładać szkoły i uniwersytety niemieckie. Jeżeli rządy państwa dostały się przypadkowo „Austryakowi ze wschodu,“ to starał się on przedewszystkiem o to, ażeby go Niemcy kochali; usiłował być „objektywnym,“ tj. nic nie robił dla swoich, a uprzedzająco grzecznym bywał dla Niemców. Zamiast garstkę niedobitków niemczyzny, tulącą się przy rządzie austryackim, puścić na zieloną paszę i zerwać z tradycyą niemieckich rządów tam, gdzie Niemców nie ma, chwalił on „kulturę niemiecką,“ robił Niemcom ustępstwa — a swoich, dla których miał tylko miłość w sercu, dusił i zaniedbywał.

Dr. Stefanowicz wybrał sobie za punkt porównania między Galicyą i Bukowiną Bośnię, będącą jakoby pod szczęśliwym rządem Benjamina Kallaya, rajem ziemskim. Nie będę się o to spierał, zdaje mi się wszakże, że wrażenia posła powstały z wycieczki turystycznej i przeszły do jego mowy. Że do Bośni przyjeżdżają Anglicy, temu się nie dziwię, bo położenie kraju klimatyczne i geograficzne nęci ich ku sobie; ale żeby z tego można było wnosić o wyższej kulturze, rzecz bardzo wątpliwa; że drogi tam dobre, nic dziwnego — gdzie jest dobry kamień, tam o to nie trudno. Kto w ciągu dwudziestu lat buduje kilka tysięcy kilometrów drogi, a na wystawę peszteńską wysyła piękne kury, bynajmniej nie staje się przez to genialnym administratorem. Trzebaby jeszcze zapytać o to ludność miejscową.

To wszystko, co mówi o stanie rolnictwa w Galicyi Wschodniej i Bukowinie, jest zupełnie słuszne i znane; powtarzać więc nie będziemy. Poseł zwraca uwagę na pierwotny stan, w jakim znajduje się górnictwo w Galicyi. Dla zilustrowania wybrał sobie kopalnię wosku ziemnego w Borysławiu. Stan tej kopalni i administracya—o czem niejednokrotnie pisano—przewyższa najfantastyczniejsze opisy. Dzienniki wiedeńskie wszystkich stronnictw — powiada — rozpisały się szeroko z tego powodu, że w kanałach miejskich zginął przez uduszenie jeden robotnik — słusznie, bo z życiem ludzkiem igrać nie można. W Borysławiu, tej Kaledonii austryackiej, jednocześnie zginęło w głębi kopalni dziewięciu robotników — ale nawet kogut nie zapiał!

Dalsze przemówienie poświęca poseł przedstawieniu stosunków i położenia administracyi dóbr funduszu religijnego na Bukowinie. Stosunki te są tak charakterystyczne a tak typowe, że można z nich powziąć doskonałe pojęcie o duchu i rządach ekonomicznych, panujących w całym kraju; dlatego też nad tą pozycyą zatrzymamy się nieco dłużej. Dobra te są olbrzymie, bo stanowią 29% powierzchni całego kraju, czyli 60 mil kwadratowych, posiadają lasy najpiękniejsze w monarchii, ogromne bogactwo kopalne, ale... nie uprzedzajmy się.

Pominąwszy gospodarstwo rolne, przejdę wprost do leśnego. Rządzono tam w sposób dość oryginalny: brzegami lasów rosły olbrzymie buki i jodły, a wewnątrz znajdowały się tylko pnie i borówki. Gdy przemysłowiec Aleksander Popper zawarł z administracyą funduszu umowę o wyrąb pewnej części lasu, pokazało się, że gospodarzył tu już inny genialny Niemiec. Pan Popper posiadał plan sekcyj zakupionych, gdy wypadło jednak sprawdzić sekcye na gruncie, pokazało się, że ich nie ma. Gdzie mapa wskazywała knieję dziewiczą, w rzeczywistości był poręb, łąka lub pastwisko. Trzeba jednak pamiętać o tem, że ministeryum rolnictwa kontroluje administracyę dóbr funduszu religijnego.

Jak się odbywa ta kontrola, mamy doskonały przykład na ostatniej lustracyi ministra Ledebura. Jest ona tak wspaniałą, że doprawdy nadaje się na temat do operetki. Pan minister wybrał się na lustracyę kraju z Wiednia, jak na takiego wielkiego dostojnika przypadło, według marszruty, ułożonej przez naczelnika sekcyi. Wiedział, gdzie się zatrzyma, co będzie oglądał, z kim mówił, gdzie spożyje śniadanie, obiad, wieczerzę z szampanem i gdzie złoży do spoczynku sprawowaną głowę i członki. Naturalnie, marszruta przyczyniła się do tego, że minister widział to, co chciano, ażeby widział i odjechał bardzo zadowolony, Z Czerniowiec zawieziono go do Toporowic, gdzie ma być najpiękniejszy na całą Bukowinę folwark. Sześć godzin musiał biedny minister jechać w powozie, ażeby go zobaczyć, a w tym czasie mógłby był zwiedzić kilka folwarków w pobliżu Czerniowic i podziwiać — brak wszelkiej administracyi. Ale — miał w Wiedniu ułożoną marszrutę. Trzeba jeszcze przypomnieć, że owe nieśmiertelne Toporowce na pół roku przed wizytą ministra były wybrane na ofiarę

W takim samym porządku zwiedzono i leśnictwa. Wszystko było doskonale obliczone, tylko nie wzięto w rachubę odpowiedzi leśniczego. Administracya dóbr kościelnych istnieje już od 25-ciu lat, ale na urządzenie lasów nie było jeszcze — czasu. Jaki jest wogóle stan interesu? — zapytał minister. Utrzymaniem nie możemy się jeszcze zajmować obecnie — odpowiedziano naiwnie — gdyż musimy przedewszystkiem przeprowadzić podział administracyjny stu tysięcy hektarów. A jak się ma rzecz z rewizyą? — O rewizyi nie może być mowy — odpowiedzieli urzędnicy — gdyż zamały mamy personel służbowy. Nic dziwnego, że tam, gdzie ani stan majątkowy nie jest znany, ani rewizye nie odbywają się, rosną brzegami rewirów leśnych jodły i buki a w środku — borówki.

Bogactwo kopalniane znajduje się w takim samym stanie pierwotności. Nietylko te olbrzymie dobra nie są zbadane pod względem geologicznym, ale nawet nie są zbadane chemicznie. Profesor chemii w uniwersytecie czerniowickim zwracał się niejednokrotnie z gotowością zbadania minerałów bezinteresownie, ale nieotrzymał nigdy nawet odpowiedzi.

Od Lwowa do Odesy, od Czerniowic do Gałaczu nie ma wcale kamienia cementowego, Bukowina natomiast posiada niewyczerpane pokłady. Gdy minister widział jakąś budującą się fabrykę, która miała pod ręką kamień cementowy, zapytał: skąd biorą cement? Odpowiedziano mu, że sprowadzają ze Szlązka pruskiego. To się nazywa dobra gospodarka. Słusznie mówi poseł: Murzyni w państwie Kongo gorzej nie mogliby gospodarzyć!

W cerkwi monasteru w Putnie były freski dawno malowane, bo nikt ich nawet nie badał, — zniszczono je. Znajduje się tam dotychczas jeszcze skarbiec, zawierający starożytne ornaty, przedmioty kościelne, hafty; wszystko to się przechowuje, że tak powiem, po gospodarsku, w skrzyni niezamkniętej na kłódkę, lecz tylko zawiązanej szpagatem, na końcach którego przełożony klasztoru wyciska na laku własną swoją pieczęć.

P. Biliński, minister finansów, jeden z tych także, który przeszedł na służbę niemiecką i stara się być „objektywnym“ stanął w obronie szanownego kolegi, utrzymując, że nie może zbyt gruntownie zajmować się szczegółami administracyi, a o złe chęci nie można go posądzać, gdyż sam fakt, że się do tych dóbr udał, dowodzi — dobrych chęci. Tak jest, ale dowodzi to także wielu innych pięknych rzeczy. Jeżeli z taką samą marszrutą jeździł p. Biliński po kolejach galicyjskich, nic dziwnego, że wielu stron ujemnych, na które wszyscy codziennie uskarżamy się, nie dostrzegał. A cóż dopiero o Niemcu mówić! — *Ambo meliores*.

Cho.

KOBIETY I FEMINIŚCI.

Revue Encyclopédique paryska specyalny poświęciła numer kwestyi niewieściej p. t. „Les femmes et les féministes.“ Najwięcej znane i zasłużone kobiety wszystkich narodowości umieściły tu urywki ze swych prac literackich lub naukowych, aforyzmy, utwory poetyckie lub też reprodukcye rzeźb i obrazów wraz z załączeniem swej fotografii. Całość wielce urozmaicona nader miłe sprawia wrażenie; dodać należy, iż numer ten bardzo starannie, a nawet wytwornie wykończonym został dzięki wydawcy Jerzemu Moreau, oraz zabiegom rodaczki naszej Maryi Szeligi, której powierzono literacki kierunek wydawnictwa. Istotnie szczęśliwą myśl miała pani Szeliga, układając album z najrozmaitszych postaci niewieścich, zwracając się do nich osobiście

z prośbą o wzięcie udziału w ogólnej pracy, która oczywiście nie roszcząc pretensyi do uczynienia przewrotu, ma jednak ważne zadanie przypomnienia czytelnikowi wielu nazwisk głośnych, zwrócenia uwagi na ruch wszechstronny, odbywający się na wszystkich polach działalności kobiety, na jej czynny udział w literaturze, sztuce, nauce. Album to zapoznaje nas tylko z ruchem współczesnym; przemawiają do nas tylko żyjące kobiety.

Artykuł wstępny pióra Maryi Szeligi poświęcony jest feminístom mężczyznom. „Nie zapominajmy— mówi autorka — iż prawa czynią mężczyznę „patronem“ kobiety, pozwalając tym sposobem na wyzyskiwanie skrzywdzonej istoty ludzkiej. Robotnica niezależnie od programu ośmiogodzinnego dnia pracy i lepszego wynagrodzenia żądać jeszcze może całego szeregu reform, aby nie pozostawać nadal istotą niższą, teroryzowaną przez męską brutalność. Zaznaczmy jednak z przyjemnością, iż nawet w sferze uprzywilejowanej znalazła się garstka mężczyzn, którzy wzruszeni opłakanem położeniem kobiety podnieśli głos swój przeciwko nienasyconemu egoizmowi władcy. Zbyt wiele miejsca zajęłoby wymienianie nazwisk tych mężczyzn, którzy pracami swemi przyczynili się do rozwoju „feminizmu“ (nazwę tę zawdzięczamy Fourierowi, który w swej „Theorie des quatre mouvement“ uznał równouprawnienie płci jako zasadniczą podstawę przyszłej reorganizacyi społecznej). Wyliczmy: Condorceta, Stuarta Milla, Edwarda Prądzyńskiego, Bebla, Ludwika Francka.“

Spotykamy się następnie z nazwiskami i portretami licznych uczonych, poetów, powieściopisarzy, publicystów, szczerych zwolenników i obrońców równouprawnienia kobiet. Do tych zaliczają się: Aleksander Dumas syn, który przed samą śmiercią napisał do Maryi Szeligi list, przetłómaczony odtąd na 63 języki; J i H. Rosny, powieściopisarze, autorowie „L'indomptée“ i „L'impérieuse bonté;“ Henryk Ibsen, Jerzy Renard, Paweł Hervieu, znakomity autor „Tenailles“ i „La loi de l'homme,“ wreszcie Montorgueil, który podał list, zawierający istny program sprawy niewieściej. „Wrodzona nierówność nie ulega najmniejszej wątpliwości — pisze publicysta francuski. Jakaż przepaść dzieli idyotę od znakomitego uczonego! Jednakże uczony i idyota mają jednakie prawa; jako małżonkom służą im równe przywileje, jako wyborcy posiadają toż samo znaczenie. Rewolucya francuska, która wszystkim obywatelom udzieliła jednakowych praw, odmówiła ich kobiecie. Mężczyzna wyzwolił mężczyznę, systematycznie jednak usuwał kobietę. Jeśli sądzi on, że zadanie jego skończone, zadaje kłam własnym zasadom. Kobieta podnosi nieśmiało te same skargi, które podnosił mężczyzna przed 1789 rokiem.“

W dalszym ciągu spotykamy się z głośnemi nazwiskami Mauryc͏ego Jokaya, socyologa rosyjskiego Nowikowa, Teodora Stautona, Leopolda Lacoura (autora „L'eternelle poupé“ i „La douleur d'aimer“), Jerzego Bodenbacha, Armanda Silvestre'a i d-ra Manouvriera, profesora szkoły antropologicznej w Paryżu, który w ciekawym urywku ze swych prac podał rezultat badań nad mózgiem kobiecym i męskim. „Porównanie dwu płci zajmowało mnie od dawnego czasu — pisze on—albowiem zdawałem sobie dokładnie sprawę z ubóstwa argumentów, ogólnie przytaczanych, aby dowieść umysłowej niższości kobiet. Zdołałem wykazać, iż wbrew opinii klasycznej, względna waga mózgu kobiety nietylko nie jest mniejszą od męskiej, lecz przeciwnie, przewyższa ją w znacznym stopniu. Fakt ten byłby bezwątpienia uważany jako dowód niższości mężczyzny, według przyjętych rozumowań, gdybym jednocześnie nie wykazał, iż przewaga mózgowa ilościowa jest dowodem wyższości umysłowej tylko przy jednakowej wadze ciała. Aby kobieta stała duchowo na równi z mężczyzną, trzeba, ażeby waga jej mózgu była większą z powodu jej mniejszego wzrostu. Kwestya wagi mózgu ściśle związana jest z wielkością czaszki. Zająłem się więc następnie temi badaniami i dowiodłem, że mózg kobiecy nietylko nie stoi niżej od męskiego, lecz przeciwnie, posiada liczne cechy morfologicznej wyższości, które, oczywiście, nie dowodzą jeszcze fizyologicznej wyższości. Z powodu różnicy wzrostu umysłowa równość obu płci wymaga dla żeńskiej cech wyższości morfologicznej.

Co zaś do strony psychologicznej, badałem w pracy wydanej 1894 roku związek między wielkością mózgu, a władzami umysłowemi. Analiza psychologiczna doprowadziła mnie do następującego wniosku: władzami umysłowemi w ścisłym związku będącemi z wielkością mózgu są rozległość i głębokość inteligencyi. Tych dwóch właśnie przymiotów odmówiło kobiecie tylu pisarzy, podczas gdy przypisywano jej tyle innych cech podrzędnych, jak: pamięć, szybkość myślenia itd. Szerokość i głębokość inteligencyi są to jednak przymioty najściślej związane z ilościowym rozwojem mózgu; mogę zatem dowodzić z całą pewnością, iż na tym punkcie, najlepiej znanym i zbadanym wszystko przemawia za równością płci.“

W dalszym ciągu numeru następuje obszerny artykuł Juliusza Bois: „La femme nouvelle,“ poczem spotykamy się z sylwetkami licznych kobiet współczesnych. Widzimy tu *filantropki* rozmaitych krajów (hrabina Aberdeen, Izabela Bogelot, Furtado-Heine, de Marsy, założycielka pierwszego klubu kobiecego w Paryżu, księżna d'Uzes itd.); *podróżniczki* (pani Bonnetani, Dieulafoy); *działaczki polityczne* (pani Buttler, która przyczyniła się do obalenia prawa regulującego prostytucyę w Anglii, Juliette Adam, pani Stauton); *założycielki* towarzystw kobiecych i *redaktorki* pism (pani Tawcett, Mina Cauer, Iza Cavalieri, Kuczalska - Reinschmidt, Lina Morgenstern, Marya Pognon, Deraismes); *malarki* (Abbema, Róża Bonheur, Demont-Breton, Lemaire, Ronner); *powieściopisarki* (pani Daudet, Gyp, Kautsky, Eliza Orzeszkowa, Olive Schreiner); *rzeźbiarki* (Leon Bertaux); *poetki* (Sylvia Albertoni, Funck-Brentano, Krysińska, Poradowska*); *adwokatki*: Sarmiza Bilcesco, Rumunka, pierwsza kobieta, która słuchała prawnych kursów w Paryżu i otrzymała stopień doktora praw (1890) po obronie rozprawy „Sur la condition légale et sociale de la femme,“ Joanna Chauvin, Francuska, autorka pracy: „Professions accessibles aux femmes,“ która nie mogąc zająć się adwokaturą, poprzestać musiała na wykładach kursu prawa dla kobiet w czterech paryskich liceach. Ogłosiła ona dwa projekty prawne, w których domaga się, aby kobiety mogły występować w roli świadków w sprawach publicznych i prywatnych, oraz aby zamężne miały prawo rozporządzać własnym zarobkiem. Ten ostatni projekt przyjęty został przez Izbę deputowanych; Marya Popelin, Belgijka, doktorka praw. *Autorki dramatyczne* (Judyta Gautier, córka Teofila); *kompozytorki muzyczne* (pani de Granval, Augusta Holmes, autorka poematów symfonicznych: Pologne, Irlande, opery: La Montagne Noire); *doktorki i przyrodniczki*: dr. Jacobs, pierwsza lekarka w Holandyi, Perejastawcewa, Klemencya Royer, dr. Stefanowska; *astronomki* (Dorota Klumpke, Amerykanka, dr. nauk matematycznych w Paryżu); *dziennikarki* (Seweryna).

*) Już w tym dziale chyba na pierwszem miejscu należałoby postawić Konopnicką. Wogóle dobór osób mógłby być lepszy. *Red.*

Oczywista rzecz, wiele nazwisk pomijamy milczeniem. Polek spotykamy kilka: Elizę Orzeszkową, panią Poradowską, piszącą po francusku powieści z polskiego życia (Mademoiselle Micia, Marylka, Jaga, Les fillerdu Pope); Maryę Krysińską, urodzoną w Warszawie, lecz osiadłą dawno w Paryżu, piszącą poezye i powieści po francusku (Folle de son corps); panią Kuczalską-Reinschmidt, redaktorkę lwowwskiego *Steru*; dr. Michalinę Stefanowską, pierwszą Polkę, która uzyskała stopień doktora nauk przyrodniczych, a poszukiwania jej nad oczyma owadów uwieńczone zostały 1889 roku nagrodą konkursową na uniwersytecie w Genewie.

Osobne artykuły poświęcono kobiecie indyjskiej, muzułmańskiej i marokańskiej. Między indyjskiemi spotykamy się z nazwiskiem miss Shinribai Patuch, jedną z pierwszych kobiet zapisanych na uniwersytet w Bombayu, redaktorkę dziennika *Stri-Mitra* (Przyjaciel kobiet), którego współpracownikami są wyłącznie kobiety.

Ciekawych wiadomości o kobiecie muzułmańskiej dostarczył Albert Fua. Na Zachodzie — pisze autor — panuje całkiem błędne przekonanie o poligamii muzułmanów. Wyobrażają sobie zazwyczaj, że każdy mężczyzna otoczony jest sześcioma, siedmioma, dziesięcioma żonami, gotowemi na każde skinienie męża władcy. W gruncie zaś rzeczy muzułmanin *kupuje* sobie żonę zupełnie tak, jak na Zachodzie żona *kupuje* sobie męża, przynosząc mu posag, a po ślubie kobieta o tyle jest niewolnicą swego męża, o ile u chrześcian mąż kupiony za posag żony staje się jej niewolnikiem. Oczywista rzecz — dodaje Albert Fua — nie miejsce tu wychwalać poligamię. Można wszakże zaznaczyć, iż choć na Zachodzie monogamia jest obowiązującą, smutnie wyglądałaby statystyka, gdyby zająć się chciała wyliczeniem wiernych mężów. Poligamia zaś, dozwolona przez Koran, jest w istocie praktykowaną przez bardzo małą garstkę mężów, ze względu na trudności i obowiązki, jakiemi ją islamizm otoczył i obwarował. Warunki życia sądzić tak trudne, iż bardzo niewielka liczba muzułmanów dać może utrzymanie kilku żonom. Tylko wielcy panowie pozwalają sobie na ten zbytek. Na Zachodzie zaś w braku praw, iluż spotykamy małych panków, uprawiających poligamię dzięki pobłażliwym obyczajom! Dodać można jeszcze na korzyść poligamii, iż nie ma tu wcale dzieci nienaturalnych, wszystkie bowiem są naturalne. Związki nielegalne, porzucenie nieprawej żony wraz z dziećmi, wszystkie te ujemne strony cywilizacyi zachodniej, będące źródłem prostytucyi i zbrodni, nie istnieją w świecie, gdzie kochanka traktowana jest na równi z prawowierną małżonką. Dziwny zwyczaj u chrześcian nakazuje żonie posiadać posag. Zdawałoby się zatem, iż powinnaby ona mieć prawo rozporządzania swem mieniem. Otóż wiemy, iż kobieta zamężna nie może nic kupić, ani sprzedać, ani do niczego się zobowiązać, ani nawet przyjąć spadku bez zezwolenia męża. Na Wschodzie mąż zapewnia żonie byt, on daje jej posag, który staje się wyłączną i legalną jej własnością, zabezpieczoną nawet od jego dłużników. Mniemana wolność kobiet zachodnich jest zatem złudzeniem, ponieważ nie mogą one rozporządzać nawet zarobionemi przez siebie pieniędzmi. Zwłaszcza w kwestyi spadku istnieje olbrzymia różnica między prawami Zachodu a prawami Wschodu. Na Wschodzie kobieta odziedzicza po mężu czwartą część spadku, jeśli nie ma dzieci, ósmą — jeśli są dzieci.

Na Zachodzie, gdzie kobieta wolna uważana jest na równi z mężczyzną, wielka panuje nierówność w odpowiedzialności prawnej co do wiarołomstwa żony lub męża. Cudzołóstwo żony jest dostatecz-

nym powodem dla rozwodu, podczas gdy żona, jeśli pragnie rozwodu, musi dowieść, iż mąż utrzymywał kochankę pod dachem małżeńskim. Żona wiarołomna skazaną bywa we Francyi na więzienie od trzech miesięcy do dwóch lat. Mąż, któryby utrzymywał kochankę pod dachem małżeńskim, skazany bywa na karę pieniężną od 100 do 200 franków. Jak widzimy, wielka jest nierówność co do odpowiedzialności. Na Wschodzie, gdzie kobieta uważana jest przez Europejczyków za niewolnicę, odpowiedzialność jest jednakowa dla męża i żony, a nawet zwykle mąż bywa srożej karany. Według praw muzułmańskich, wiarołomstwo zarówno jednej, jak i drugiej strony karane bywa śmiercią. Wreszcie w razie rozwodu kobieta zabiera posag, jaki otrzymała od męża.

Dr. J. J.

LIBERUM VETO.

Życzenie noworoczne.

Pieniążki miedziane, bite w Egipcie za panowania Ramzesa i odtąd aż do naszych czasów będące w ciągłym obiegu, nie byłyby tak wytarte i bezwartościowe, jak życzenia, które ludzie składają sobie uroczyście kilka razy do roku. Winszują oni sobie bowiem od tysięcy lat: „szczęścia, zdrowia i wszelkich pomyślności“ — i od tysięcy lat nie mają ani szczęścia, ani zdrowia, ani wszelkich pomyślności. Nie podjąłbym się objaśnić, czemu, widząc tak dowodnie bezskuteczność swych życzeń, a nawet nie wierząc w ich wpływ, nie przestają ich jednakże powtarzać. Prawdopodobnie podczas długotrwałego dziedzictwa nawyknień wytworzył się w organizacyi człowieka pewien bezwiedny myślowo-uczuciowy odruch, który objawia się, pomimo że stracił swoją pierwotną przyczynę. Powoli wszakże odruch ten zanika. Coraz częściej upowszechnia się zwyczaj składania ofiar na cele dobroczynne „zamiast powinszowań.“ Zwolennicy takiej zamiany powiedzieli sobie: po co mamy tracić czas i znosić trudy składania życzeń, kiedy one nikomu nie pomagają? Lepiej dać kilka rubli biednym i uwolnić się od obowiązku żmudnego a bezpłodnego.

Tak jest. Nie znaczy to jednak, ażeby życzenia nie miały bezwzględnie ani sensu, ani wpływu. Wyobraźmy sobie bowiem, że matka do kochającego ją syna albo kobieta do uwielbiającego ją mężczyzny mówi: życzę ci, mój drogi, ażebyś tę przeszkodę pokonał. Z pewnością dla pokonania owej przeszkody wytęży on swe siły bardziej, niż gdyby nie doznał zachęty z ust, których każde pragnienie posiada dla niego wielką wagę. Jeśli mnie spotka na ulicy szubrawiec, którego jeszcze wczoraj widziałem przy niecnocie i w dzień nowego roku powinszuje mi „zdrowia,“ ani pomyślę dbać o nie z tego powodu; ale inaczej się zachowam, jeśli to samo usłyszę od kogoś, czyja wola obowiązuje moje serce. Podobnych wypadków moglibyśmy wymienić bardzo wiele, a wszystkie dowodzą tego faktu, że życzenia stają się niekiedy pobudkami do czynów, a więc rzeczywiście oddziaływają na losy ludzkie.

Otóż dziś, gdy je zwyczaj każe wypowiedzieć, chciałbym być jakimś ulubieńcem społeczeństwa, ażeby w jego serce włożyć jedno życzenie, które szczególnie radbym widzieć spełnionem. Mianowicie: ażebyśmy nauczyli się tworzyć zgodę i spójność w skojarzeniach sił naszych. Po przez całe dzieje, przez całą teraźniejszość brzmi ciągle głos, bądź jako zarzut, bądź jako skarga, że Polacy nie umieją działać pożytecznie i prawidłowo w żadnej organizacyi, że nie są zdolni poświęcić egoizmu jednostkowego dla dobra ogółu, że nieposkromionym i nieokiełznanym indywidualizmem psują ciągle harmonię i osłabiają energię ciał zbiorowych. Niestety, jest to nietylko prawda, ale jedna z najsmutniejszych, jakie w naszych właściwościach i naszem życiu wykryć można. Ktokolwiek nas bezstronnie sądził, przyznawał, że stanowimy szczep bardzo sympatyczny, bogato od natury uposażony, w wielu kierunkach objawiający nadzwyczajne zdolności. Zdawałoby się, że on przedstawia wyborny materyał na żywotne i dzielne czynniki pracy kulturalnej, że ludzie rozumni, szlachetni, gotowi do poświęceń, pojmujący i odczuwający potrzeby społeczne, ile razy połączą się w jakimś wspólnym celu, wyrobią łącznie masę dobra i pożytku. Tymczasem dzieje się przeciwnie. Każdy z tych ludzi traci znaczną część swej wartości z chwilą, kiedy zacznie działać z innymi. W umyśle jego występuje upór, w charakterze — zaciętość, w stosunkach — nietolerancya, w dążeniach — wyłączność. Jeśli nie zdoła wznieść czegoś według własnej woli, kładzie ją jak dynamit i raczej wysadzi w powietrze całą budowę, niż usunie z niej swoją cegłę. Czasem bywa jeszcze gorzej: jednostka oślepiona interesem osobistym, zapomina zupełnie o społecznym, rozpościera po instytucyi publicznej, jak polip, ramiona samolubstwa i toczy ją dla siebie. To też najrozumniej pomyślane i najpożyteczniejsze przedsięwzięcia po krótkim okresie rozwoju zaczynają słabnąć i martwieć, występuje w nich niemoc, paraliż bez widocznej przyczyny. A tą przyczyną jest prawie zawsze rozstrój organizacyi, spowodowany chorobliwym indywidualizmem, dążnościami rozbieżnemi, które się krzyżują i wzajemnie wyłączają.

Wspominaliśmy niedawno o dwu stowarzyszeniach martwych—jedwabniczem i pszczelniczem. Właściwie nie stanowią one rażącego wyjątku od reguły, gdyż nie znamy ani w Warszawie, ani w kraju takiego stowarzyszenia, któreby objawiało pożądaną żywotność i jednocześnie nie było ciągle targane wewnętrznemi waśniami. Największa zgoda panuje tam, gdzie poważne cele ustąpiły miejsca zabawie, jak np. w resursach Kupieckiej i Obywatelskiej, których członkowie przez cały rok grają w karty, a podczas karnawału dla swych żon i córek urządzają bale. O karty upominano się w chwilach wstrząśnień wewnętrznych u wioślarzów i cyklistów, o kartach przebąkiwano u ogrodników i t. d. Wprawdzie uratowano odmową honor tych instytucyj, ale nie umocniono ich podstawy. Rozumie się, mniej chodzi nam o stowarzyszenia sportowe, a więcej o pożytkowe. Na nieszczęście w tych właśnie osiadła niemoc i zagnieździły się kłótnie. Tak np. Towarzystwo ogrodnicze po kilkunastu latach istnienia doszło do tego, że jego obradami i uchwałami kierują reporterzy, którzy nigdy nie wyhodowali ani jednej rośliny i nie mają pojęcia o najelementarniejszych wiadomościach ogrodniczych. Ludzie poważni, w swym zawodzie ukształceni i posiadający wiele doświadczenia, milczą, a tymczasem rej wodzi zuchwała krzykliwość, płytka projektomania, puste frazesowiczostwo i brukowa mądrość. Sady w kraju naszym są nieliczne i zaniedbane, posiadacze większej własności zakładają kosztowne plantacye drzew bez żadnego wyobrażenia o ich wartości pożytkowej, sadząc w piaskach i sapach, na otwartych miejscach, odmiany, wymagające dobrej ziemi i osłoniętego stanowiska; chłopi żyją przeważnie owocem kradzionym we dworach; kraj nie wie, jakie gatunki uprawiać może i powinien na większą skalę; katalogi zalecają nasiona warzyw przez nikogo niewypróbowanych i często zawodnych — słowem, chaos, gra w ślepą babkę, blaga, marnowanie nakładów i starań, partactwo przedsięwzięć i marność skutków, a w ostatecznym rezultacie ogrodnicze ubóstwo kraju. Nie zapobiegło temu ani w części Towarzystwo. Czy warto było zbierać kapitały, przyjmować zapisy, ściągać od gromady ludzi tysiące rubli składek rocznych, ażeby po wielu latach mieć dom na zebrania, w których leją się nieskończonym potokiem puste frazesy i urządzają się loterye kwiatów? Zamiast wytworzyć jeden umiejętnie redagowany organ, któryby ludzi oświecał w pracy, będziemy mieli aż trzy pisma ogrodnicze, mnożące makulaturę. Zamiast uczyć wynikami ścisłych i cennych doświadczeń, zakłada się wylęgarnie projektów, które natychmiast po wykluciu się zamierają. Po co wreszcie snuć dalej wątek dowodów! Dla określenia natury naszego Towarzystwa ogrodniczego dość powiedzieć, że ono dotychczas nie może się zdecydować, czy ma przyjąć dobra ziemskie, podarowane mu testamentem przez zmarłego Paprockiego. Obejrzało je już wielokrotnie, wyznaczyło komisyj bez liku, namłóciło słomy podczas obrad dużą stertę — i dotąd nie wie, co zrobić.

Nie zatarło się w nas jeszcze uczucie głębokiej przykrości, wywołane krytyką działań Towarzystwa Osad rolnych, zwłaszcza co do zapisu czcigodnej pamięci Kickiego. Nie przeczę, że do tej krytyki domieszały się niesprawiedliwe oskarżenia, ale faktem jest, że ani naczelny zarząd, ani podwładne mu organy nie dorosły do swego zadania: pierwszy nagrzeszył niedbalstwem, drugie — dbałością o własny interes. Nie rozbieram tej sprawy bliżej, gdyż dotąd nie mam ani odpowiedzi na zarzuty przedmiotowe, ani szczegółowego rachunku z gospodarki funduszami i folwarkami Kickiego. Zaznaczam tylko ogólnie dowód nieudolności naszej w zorganizowanej pracy zbiorowej.

Wobec wielu podobnych dowodów ogarnia nas gniew albo rodzi się w duszy skarga na chroniczne kalectwo nasze w tych właśnie uzdolnieniach, od których może najbardziej zależy pomyślność, dobrobyt i rozwój społeczeństwa. Czyż my nigdy nie wyleczymy się z choroby sobkowskiej i nadmiernego przerostu popędów indywidualistycznych? Czyż wiecznie ogół korzystać będzie z jednostek o tyle, o ile one coś zrobią dlań samodzielnie? Gdyby tak być miało, należałoby zwątpić o przyszłości narodu, który nie umie organizować sił swoich. Mam nadzieję, że i my nakoniec wyrobimy w sobie cnotę życia i działania społecznego, będącą przedmiotem dzisiejszego mojego życzenia. Tylko nie zapominajmy o niej, szczepmy ją w pokoleniach młodych, czcijmy w dojrzałych, wysławiajmy jej wartość i wykazujmy konieczność. Musimy przygotować dla niej grunt w charakterach, które są u nas zbyt chwiejne, miękkie, podległe wpływom chwili i nagłym porywom. Wszystko można gdzieś nabyć i sprowadzić: mądrość, wynalazki, dzieła sztuki, chleb — tylko charaktery trzeba wyrabiać u siebie w domu. Tego jednego produktu żaden naród nie ma za wiele i nie sprzedaje innym.

Poseł Prawdy.

BADANIA NAUKOWE.

HISTORYA.

Plon zeszłoroczny.

Początek roku 1897 powitał nas nader miłym dorobkiem zgasłego ..., przed chwilą swojego poprzednika. Na półkach księgarskich, zawalonych dotąd niemal wyłącznie elukubracyami romansowemi, ukazał się nagle długi szereg dzieł poważnych, naukowych, głównie historycznych. Byłżeby to zwiastun od tylu lat oczekiwanego i pożądanego zwrotu opinii publicznej ku sumienniejszemu zastanowieniu nad losem piśmiennictwa ojczystego?

Tadeusz Korzon, okrom znakomitego „Życiorysu" w edycyi pierwszej (1894), zdobył się na drugie wydanie „Dziejów wewnętrznych," oddawna wyczerpanych, których tom pierwszy jest już w obiegu; nie w jednym zamożniejszym domu trafił on akurat na gwiazdkę. Władysław Smoleński nie mniejszą niespodziankę zrobił wielbicielom pracowitego swego talentu, wystąpiwszy z „Ostatnim rokiem sejmu czteroletniego," wieńczącym niedokończoną pracę Kalinki. To są nabytki pierwszorzędnego znaczenia — grube działa erudycyi i umiejętności. Obok nich uwijają się podjazdy lżejsze, rekognoskujące ciemny podziśdzień teren drugiej połowy wieku XVIII-o. Zaznaczmy niewielką rozprawkę Adolfa Pawińskiego „Michał Gröll," która pomimo skromnego tytułu, że jest tylko „obrazkiem na tle epoki stanisławowskiej," stanowi jedną z najpiękniejszych kartek dziejów naszej cywilizacyi. Aleksandra Kraushara „Ofiara terroryzmu" daje również więcej, niż obiecuje, gdyż w ponętnem, nadzwyczaj ciekawem opowiadaniu o zgonie Rozalii z Chodkiewiczów księżnej Lubomirskiej, ściętej w Paryżu w r. 1794 odsłania nam wnętrze wulkanu rewolucyjnego, który Europą wstrząsnął od posad, a zarazem pokazuje, że prawda w historyi bywa niekiedy barwniejszą od najjaskrawszej legendy.

Ktokolwiek zadałby sobie pytanie, dlaczego pewne społeczeństwa podupadają, a inne na ich miejscu wznoszą się i rosną, znajdzie w powyżej wymienionych pracach materyał do odpowiedzi wystarczającej, gruntownie uzasadnionej. O ileby jednak pragnął posunąć się dalej i docieć, w jakich razach upadek uważać należy za ostateczny, nieodwołalny wyraz śmierci organicznej, sięgnąćby musiał znacznie głębiej — cofnąć się wstecz do epok, kiedy mniej więcej słusznie mówić było można o zdrowym, normalnym rozwoju jednostki zbiorowej.

Mamy i z tego zakresu kilka cennych podarków noworocznych, jako to: Kubali „Szkice historyczne" (tomów dwa, wydanie trzecie); takież „Szkice" Adama Darowskiego (serya druga z r. 1895 i trzecie z r. 1896); ogromne dzieło Pawińskiego o „Rządach sejmikowych"; Michała Rollego (syna dr. Antoniego J.) „Z przeszłości," oraz „Słownik rzeczy starożytnych," opracowany przez G... (jednego z najzasłużeńszych naszych archeologów). Na oko sądziłby należało, że jest to materyał różnorodny, rozbity, niezdolny wyłonić z siebie obstatowanego zawczasu światła. Kubala prawi o młodości Jana Kazimierza, o zdrajcy Radziejowskim, o wbitym na kół w Krakowie Kostce Napierskim, o czarnej śmierci w połowie wieku XVII; Pawiński szeroko się rozwodzi nad ustawami z pod Cerekwicy i Nieszawy, o żydach, chłopach i mieszczanach odsuniętych od samorządu ziemskiego, o słabości centralnych organów starego państwa polskiego; Darowski drobiazgowo oblicza wszystkie chybione poselstwa Zygmunta III-go i Władysława IV-go na Wschód; Rolllo usiłuje odgrzebać statystykę kolonizacyi naszej kresowej z pod zgliszcz i zwalisk czambułów tatarskich, tureckich, kozackich; Gloger wreszcie podaje określenia i monografie takich np. przedmiotów, jak: „zawiły termin," „wybraniecka piechota," „wilkirz," „stanowniczy," „roki wielkie," „pawężnicy," „neminem captivari" itp. Alboż podobna z tylu luźnych i na wszystkie strony rozproszonych kawałków złożyć jakąkolwiek całość?

Nie, niepodobna. Choćby przedzierając się przez te gąszcze zdarzeń i zjawisk minionego, przebrzmiałego bytu, nie wypuściło się z rąk ani razu przewodniej tej nici, której koniec pochwyciliśmy u Korzona, Smoleńskiego, Kalinki itd., nie trafimy do ładu z trapiącą nas troską zagadnienia, jeżeli jednocześnie pozostać ma dla nas tajemnicą, czem jest — a raczej czem był — tej nici początek. I cóż powiecie? — Jak się komu wiedzie, to się już wiedzie drzwiami i oknami. Właśnie w d. 31 grudnia 1896 r. Wilhelm Bogusławski (z Żytomierza) zamknął czwarty i ostatni tom „Dziejów Słowiańszczyzny północno-zachodniej do połowy XIII w.," uwieńczonych nagrodą konkursową z funduszu ś. p. Bretkrajcza... Ani o Bretkrajczu, ani o samym Wilhelmie Bogusławskim ten i ów z czytelników nigdy może jednego słowa nie słyszał. Nie przeszkodziło to wszakże — przynajmniej temu drugiemu, Bogusławskiemu, trzydzieści lat życia poświęcić źródłowemu dociekaniu spraw tej oto natury: skąd pochodzą Słowianie zachodni, w szczególności zaś Polacy? na czem się zasadzała pierwotna treść ich działalności społecznej? Do jakiego stopnia rozwoju doszły wśród nich instytucye samoobrończe, oświata, przemysł, rolnictwo, wojskowość, żegluga, sztuka? — słowem, czem była polskość w swojej kolebce?

Nie zachęcamy nikogo do wertowania od dołu do góry i napowrót wszystkich tych kwestyj; wartki potok teraźniejszości bieżącej, powszedniej, pochłania tyle żywotnych sił i myśli każdego z nas, że przeszłość wydaje się nieraz balastem do udźwignienia już niemożliwym. W każdym razie, nie godzi się też i poprzestawać na prostej wzmiance, żeśmy się oto w końcu roku 1896 zdobyli na całą górę skarbów, które — jak on dziś — najlichszym odsetkiem się nie wypłacają, ale które jutro, pojutrze, przydać się na coś mogą...

Witold Rajczyc.

EMIL DUBOIS-REYMOND.

(WSPOMNIENIE POZGONNE).

Emil Dubois-Reymond *) zdobył w nauce stanowisko poważne, ale bynajmniej nie wyjątkowe. Wielu z towarzyszów jego posiada te same, jak on prawa do wdzięczności potomków, nazwiska ich są jednak i pozostaną nieznanemi. Sława, otaczająca imię zmarłego, pochodzi nie z zasług, które położył dla postępu wiedzy, i prawdopodobnie tylko bardzo niewielka garstka osób słyszała cokolwiek o istotnym dorobku naukowym fizyologa berlińskiego. Nazwisko jego stało się głośnem z powodu paru drobnych rozprawek filozoficznych, takich jak praca, poświęcona stosunkowi Woltera do przyrodoznawstwa, poglądom filozoficznym Leibnitza lub Darwina. Dla szerszego ogółu wystarczało, że piszący był przedstawicielem ścisłej nauki i dokonał pewnych odkryć w fizyologii. Sława rosła — nie za rzeczywiste przyczynki do skarbca wiedzy, lecz za dorywcze prace publicystyczne.

Dubois-Reymond zyskał rozgłos w gruncie rzeczy skutkiem dwóch czynów.

Z powodu wypadków r. 1870 wystąpił on jako rzecznik buty junkierskiej. Potomek wychodźców hugonockich, zmarły nosił nazwisko francuskie, uznał więc za stosowne dokonać publicznej skruchy za taki grzech ciężki. Uskutecznił to w sposób, jakiego nie powstydziłby się żaden z synów duchowych duchowej etyki Bismarcka. I zrobił to w chwili, w której szlachetniejsze umysły w Niemczech protestowały gorąco przeciw pożogom i przyszłym zaborom. Dubois-Reymond wyparł się przodków niezbyt honorowo, wypierając się zaś dowiódł, że jest pospolitym Prusakiem.

W kilka lat później ogłosił broszurę o granicach poznania, która tyle narobiła wrzawy. W rozprawce tej uczony fizyolog wypowiedział myśli dość stare, lecz nadał im charakter namiętny i jaskrawy. Agnostycyzm Herberta Spencera pod piórem Dubois-Reymonda stał się hasłem praktycznem. *Ignorabimus!* — tj. nigdy nie poznamy tajników przyrody, ani nie rozwiążemy jej zagadek. Atoli poglądów filozoficznych, zwłaszcza podanych w sposób publicystyczny, nigdy nie należy oceniać tylko ze stanowiska wartości oderwanej, naukowej. Rozlegają się one nie w pustce, ale wśród gromady społecznej. Rozważane z takiego punktu słowa zmarłego, słuszne pod wielu względami i stanowiące reakcyę przeciw jednostronności Büchnera i Moleschotta, były pobudką tej samej natury, co wyparcie się pochodzenia francuskiego — pobudką nadciągającej reakcyi. Fizyolog niemiecki śmiałemu polotowi wyobraźni naukowej wyznaczał tam szranki i nakładał pęta. Mimowoli przypomina mi się jego traktat o Fauście wraz z dowodzeniem, że Goethe powinien był połączyć tego krnąbrnego ducha z Małgosią ślubem dozgonnym. Faust — małżonkiem, może piszącym rozprawę o granicach poznania i podjudzającym namiętności rasowe!

Z takich to źródeł płynęła sława Dubois-Reymonda, tem większa, im dłuższy przeciąg czasu oddzielał dorastające pokolenie od wrzawy, wywołanej wyłuszczonymi postępkami. Doba dzisiejsza odznacza się bowiem szczególnym przymiotem — ktoś zyskuje trwałe imię, jeżeli choć raz czemkolwiek przykuł do siebie uwagę kół szerszych. Swoją drogą zmarły zasłużył na wspomnienie swojemi studyami naukowemi. Stworzył on naukę o elektryczności zwierzęcej poszukiwaniami nad rybami elektrycznemi, potem zaś nad działaniem prądu elektrycznego na nerwy i mięśnie. Lecz może jeszcze większe zasługi położył jako organizator nauczania fizyologii. Był on inicyatorem pracowni fizyologicznej w Berlinie, z której wyszło tylu uzdolnionych i wyszkolonych badaczy.

*) Urodzony 1818 r.

LITERATURA I SZTUKA.

WALTER PATER.

„Szukał na ziemi czegoś, co tu nie istnieje, albo też istnieje w ilości zbyt niewielkiej, aby mogło zaspokoić naszą żądzę," taki epitaf — wyjęty z jego dzieł — możnaby postawić na grobie niedawno zmarłego filozofa i poety, prof. Waltera Patera. Był to jeden

największych artystów słowa naszego stulecia. Całe życie uciekał od rzeczywistości, najchętniej przebywając w bladem państwie marzeń. Jego dusza przypomina melancholię chorych drzew. Są w niej wszystkie odcienia smutku: smutek zamglonej jesienią wody, smutek umierających zwierząt i smutek ludzi, którzy zmuszeni są żyć. Ubierał swą melancholię w piękne frazesy, które są jak ciężkie zasłony żałobne, to znowu jak dyademy ze starego złota. Miał w sobie zawsze coś z kobiety i księdza. Już jako dziecko najchętniej bawił się w procesye religijne. Długie godziny spędzał samotnie w smutnym ogrodzie katedry w Canterbury, nad którą wznoszą się wspomnienia średniowieczne. Był wówczas nadzwyczaj religijny. Dopiero w uniwersytecie dał się porwać pięknu ideałów pogańskich. Od Ruskina przeszedł do Goethego i Winckelmana. Nie znosił jednak tyranii linij prostych. Posuwał się zawsze elipsą. Poezya grecka zaprowadziła go do filozofii Platona, a stąd powrót do religii i chrześciaństwa był rzeczą naturalną. Ale i tu w swem niezdecydowaniu przystanął na pół drogi: nie mógł się wyrzec piękna, a dziecinna jego wiara była zwichnięta. Pomimo to marzył o wstąpieniu do zakonu. Edmund Grosse, który w swych „Critical Kits-Kats" poświęca Paterowi osobny rozdział, twierdzi, iż byłby niewątpliwie to uczynił, gdyby śmierć nie stanęła na przeszkodzie jego zamiarom. Umarł w 54 roku życia. Historyę wszystkich swych wahań opowiedział w głównem swem dziele „Marius the Epicurean." Pater i w życiu pozostawał mnichem, który nigdy nie wyjrzał poza mury miasta uniwersyteckiego i któremu dwie siostry zaoszczędziły wszelkich trosk materyalnych. Uciekał starannie od odpowiedzialności, od czynu, od obowiązku bezpośredniego. Głosił słowem i przykładem ewangelię wyrafinowanego cynizmu umysłowego i artystycznego, religię piękna.

Jest rzeczą oczywistą, iż mamy do czynienia ze zjawiskiem nienormalnem. Można tu zastosować termin „zwyrodnienie," który, niestety, jest jeszcze bardzo tajemniczy. Pater był dekadentem. Wyznawał otwarcie swe zamiłowanie do „delikatnego piękna, które się dobywa z rzeczy umierających." Natomiast zdrowie, reforma, postęp — były dlań zmorami. Świat wydawał mu się dobry, jakim był, a raczej jakim go widział z oddali, ginącym w półcieniach, pośród przytłumionych dźwięków, świat jako źródło wrażeń wytwornych, które mogłyby się rozproszyć od wszelkiego wstrząśnienia. Ci, co wierzą w naukę i postęp, niewątpliwie go potępią; ale ludzie, jak Pater, są także pożyteczni, przynajmniej tem, iż pokażą przyszłym pokoleniom, czem człowiek być nie powinien. On używał dni i nocy, aby zmniejszyć swą istotę czytaniem. Żył tylko po to, aby dać wyraz i imię pewnemu stanowi ducha. Jego umysł unosił się nad ludźmi i rzeczami, tańczył koło nich, bawił się ich echem, odbiciem. Rozwój społeczny wysadził go z torów, jakie natura wyznaczyła człowiekowi i ona mąciła się nad nim masą stanów chorobliwych, które zaostrzały jego spojrzenie, pozwalały widzieć piękno mistyczne zachodów, upadków, rozkładów i zgłębić melancholię bytu bardziej, niż człowiek zdrowy zgłębiłby ją potrafił.

Zresztą dla nienasytnych sybarytów umysłowych naszego czasu, którzy spoglądają na człowieka, jak na gąskę tuczoną wyłącznie dla smaczności jej wątróbki, niema w tem nic złego. Wogóle świat nie wydaje im się dość bogatym, abyśmy mieli zeń cokolwiek wyrzucać. Jeżeli psychika ludzi zdrowych zachwyca ich swą energią, to psychika dekadentów zachwyca swem wyszukaniem. Pater przypada im do smaku tem, iż był pełen wytwornych sprzeczności i tem, że głośno domagał się prawa nie być w zgodzie ze sobą. Nasze „ja" jest tylko sumą wrażeń ubiegłego życia, nanizanych na nić jakiegoś wierzenia. Gdy nić ta się zużyje, wrażenia układają się w jakieś dowolne i — w miarę zaniku wierzeń — coraz bardziej znamienne mozaiki. Pater z pierwotnych swych wierzeń nic zachował nic, oprócz jakiegoś nieokreślonego idealizmu i dlatego w życiu widział tylko formy konkretne i zmysłowe, co najdalej symbole pewnych idei. Wszystkie te cechy odnajdujemy w „Maryuszu Epikurejczyku."

Autor obrał epokę historyczną, która jest wielce podobną do czasów panowania Antoniusza i Marka Aureliusza, gdy myśl filozoficzna objęła całe społeczeństwa rzymskie, a stare wierzenia rozpadały się w gruzy. Tylko na prowincyi zachowały one jeszcze dawną swą moc. Pater wprowadza nas właśnie do Etruryi, gdzie na brzegu morskim, w skromnej willi mieszkał Maryusz z matką, pogrążoną w żałobie po śmierci męża. Chłopiec z rozkoszą oddawał się praktykom starej wiary, tak dbałej o piękno plastyczne, zewnętrzne, o ceremoniach pełnych prostej poezyi. Melancholia matki wywołała i w nim od samego dzieciństwa nastrój poważny, a życie zamknięte, oderwane od świata — skłonność do marzycielstwa, do bezczynnych rozmyślań. Gdy podrósł, oddano go do szkół w Pizie i tu zaprzyjaźnił się z synem niewolnika, Flavianem, chłopcem o charakterze silnym i ambitnym. Razem studyowali dyalektykę, Lukrecyusza, Lucyana, Apoleusza. Pod tymi wpływami wiara dziecinna Maryusza zaczęła się przetwarzać, dawniejsze dogmaty zamieniły się na wdzięczne symbole. Ale abstrakcye filozofii stoicznej, atomizmu przemawiały tylko do jego umysłu, jego wyobraźnia wymagała we wszystkiem form konkretnych, a jego uczucie nie mogło się pogodzić z tą wyniosłą i pogardliwą energią, która niczego po śmierci się nie spodziewa. Już zgon matki wywołał w duszy Maryusza rozpacz bolesną, jeszcze ostrzej odezwały się w nim tętna idealistyczne po zgonie Flaviana, który do końca zachował jasność i spokój zupełnie pogański: na łożu śmierci układa on wiersze, w których harmonia wirgiliuszowska łączy się z przeczuciem poezyi rymowanej wieków średnich.

(D. n.)

Dr. L. W.

SPRAWY EKONOMICZNE

ZE STOSUNKÓW ROLNYCH.

Upadek gospodarstwa napiętego w Europie i rozwój rabunkowego na przestrzeni globu. — Skutki rozwoju dróg komunikacyjnych. —Nowy wynalazek: zamrażanie wiktuałów i następstwa jego dla Europy. — Australazya — nowy współzawodnik.

Kto pamięta lata przed nastaniem zamorskiej konkurencyi zbożowej, ten przyzna, że postęp w rolnictwie zwolnił kroku. Nie ma ani dawnego gorącego nawoływania ziemian do stosowania lepszych metod uprawy, nie można też spostrzedz wśród rolników zbyt wielkiej wiary w dodatnie skutki ulepszeń. Specyalne pisma zagraniczne zaznaczają nawet, że zbyt napięte gospodarowanie, uchodzące ongi za najlepszy wyraz dążeń postępowych, przestało obecnie opłacać się w Niemczech, i że właściciele takich majątków, otrzymujący niegdyś ze swojej zabiegliwości niezgorsze dochody, zamykają roczny budżet stałym niedoborem.

W tych utyskiwaniach jest może dużo przesady. Rolnik nie może pogodzić się z myślą, ażeby produkty rolne znalazły się na rynku w takiem samem położeniu, jak wytwory przemysłu. W ciągu wielu dziesiątków lat przyzwyczaił się, iż zawsze miewał nabywcę na płody gleby swojej. Sądzi, że tak powinno być zawsze. Ale bądź co bądź położenie jest takie, że możemy śmiało zaufać tym, którzy dowodzą, iż napięty tryb gospodarowania przestał być zyskowny. Postęp dotychczasowy w rolnictwie, który z końcem ubiegłego wieku ogarnia przodujące kraje naszej części świata, aż do ostatnich czasów szedł nieprzerwanie, i zdawało się, że nie będzie miał końca. Lecz dokonywano tych obliczeń, nie uwzględniwszy stosunków pozaeuropejskich. Tam, w krajach zamorskich czekały na rękę ludzką nietknięte jeszcze przestrzenie czarnoziemu i stepy, mogące dać przytułek dziesiątkom milionów sztuk bydła. Z chwilą, w której znalazły się one w możności wysyłania swoich produktów do Europy, rozpoczyna się dla rolnictwa naszej części świata okres ciężkiej walki. Napięte gospodarstwo, użytkujące z irygacyi, drenowania, płodozmianów, wytwarzało zboże po względnie wysokiej cenie, ale miało zawsze zbyt zapewniony, bo ukazywało się dopiero skutkiem zwiększonego zapotrzebowania. Współzawodnictwo zamorskie zniosło taki stan rzeczy i sprawiło, że obecnie wzrost zaofiarowania produktów rolnych wyprzedza potrzeby spożywców. Ceny spadają i kosztowne, napięte sposoby nie pokrywają wydatków, przynajmniej mogą ich nie pokryć w przyszłości. Epoka gospodarstwa intenzywnego, poprzestająca jedynie na Europie, mija. Natomiast uprawa zbóż i hodowla bydła, obliczone na rynek międzynarodowy, rozpowszechniają się po całym globie ziemskim i cofają rolnictwo do systemów ekstenzywnych. Gruntów zaś jest tyle, że niepodobna wyznaczyć czasu, gdy wszystkie zostaną zajęte. I dopiero wtedy może nastać nowy okres napiętego rolnictwa — już nie na przestrzeni paru tylko krajów, ale całego obszaru międzynarodowego. Dzisiejsze przesilenie ziemiańskie jest właśnie płodem chwili przełomowej — zamiany postępu czysto miejscowego na podbój terytoryów dziewiczych i uprawę ich w sposób prosty, rabunkowy.

Jak dotychczas, przewrót ów dotknął przedewszystkiem produkcyę zboża. Zbudowanie sieci kolejowej w krajach zamorskich i udoskonalenie linij parostatkowych poprzedziły wylew ziarna zamorskiego na rynki europejskie. Bez takiego postępu środków komunikacyjnych nie byłoby współzawodnictwa amerykańskiego, ani indyjskiego. I każde udoskonalenie techniki kolejowej lub okrętowej, pozwalające chociażby na parę kopiejek obniżyć koszta przewozu buszla, może więcej zaważy na losach naszego ziemianina, aniżeli zaprowadzenie płodozmianu w majątku. Dobrobyt rolników europejskich jest zależny od potęgi im obcej, znajdującej się w ręku dla nich obojętnem, wówczas gdy dawniej szedł w parze z zapobiegliwością i oszczędnością gospodarza.

Podobnie ciężkie czasy nastają dzisiaj na produkty delikatniejsze, na owe *perishable goods*, jak mówi Anglik, mianowicie na mięso, masło, sery, owoce, miód, nawet jaja. Wynalazek umiejętności zamrażania tych towarów i zabezpieczenia ich przeciw zepsuciu pomimo dalekiej drogi odezwą się na położeniu ziemianina tak samo ciężko, jak ulepszenia kolejowe. Dzisiaj doszło już do tego, że wszystkie tylko co wymienione produkty mogą wytrzymać podróż 40-dniową i przybyć w stanie świeżym z N. Zelandyi lub Australii na rynek londyński. I właśnie te dalekie zakątki globu są dzisiaj głównem ogniskiem

przewrotu w metodach udoskonalonego przewozu mięsa, masła i innych tego rodzaju towarów.

Rzecz to zgoła zrozumiała. Stany Zjednoczone wywożą mięso w ilości dość ograniczonej, bo wzrost zaludnienia nie pozwala zbyt rozwijać się eksportowi. Nadto przewóz przez Atlantyk wzdłuż pasu umiarkowanego nie zmusza przemysłowców do starannego dbania o środki, przeciwdziałające zepsuciu. Tymczasem produkty, wysyłane z Australazyi, muszą koniecznie w pewnym punkcie przebyć równik, tj. przejść przez pas gorący. Trzeba tam zastosować sposoby doskonalsze, nie takie, na których mogą poprzestać Amerykanie. Nadto wywóz mięsa z N. Zelandyi lub Australii stanowi zasadniczą rubrykę w dochodach tych kolonij, bo sama przyroda tamtejsza, zwłaszcza na lądzie ostatnio wymienionym, uniemożliwia produkcyę ziarna w rozmiarach rozleglejszych, natomiast sprzyja rozkwitowi hodowli owiec. Powstały tam olbrzymie przedsiębiorstwa, zajmujące się specyalnie produkcyą wełny i baraniny. Np. w zachodniej dzielnicy N. połud. Walii rząd wydzierżawił 16 milionów hektarów tylko 309 *squatterom*, tj. na pojedyńczą dzierżawę przypada przeciętnie aż 50 tysięcy hektarów, i 10—12 takich majątków zajmują przestrzeń jednego departamentu francuskiego. Są tacy, którzy posiadają po 200 tysięcy hektarów i po 250 tysięcy owiec. Leroy Beaulieu opisuje majątek nad rz. Lachlanem; przestrzeń, wynoszącą 120 tysięcy hektarów, porznięto na mniejsze zagrody, oparkaniono drutem, a choć pasie się tam 160 tysięcy owiec, przecież dla utrzymania porządku i dopilnowanie trzód wystarcza 60 ludzi!

Wynalazek stosowania sztucznie stworzonej nizkiej temperatury do przewozu mięsa datuje się zaledwie od r. 1876. Wywóz baraniny z Australii do Anglii rozpoczyna się dopiero z r. 1890, w którym wysłano na próbę pierwszy ładunek zamrożonego mięsa z 400 owiec. Już roku następnego cyfra ta podniosła się do 17.500; w r. 1895 zaś N. Zelandya wysłała na rynki angielskie 2,400 tysięcy owiec, Australia zaś około miliona! Zbudowano specyalne wagony i okręty, służące jedynie do tego celu. Pomiędzy Anglią i Australią kursuje stale 36 okrętów, utrzymujących się tylko z przewozu mięsa. Naturalnie, przy takich rozmiarach handlu baraniną powstały olbrzymie firmy, zajmujące się zamrażaniem produktu. *N. S. Wales freshfood and ice C-y* zamraża dziennie około 4 tysięcy owiec, *Austr. Meat Chilled and Freezy C-y* wysyła miesięcznie 35 tysięcy.

Przyjrzyjmy się z blizka jednej z takich fabryk.

Towarzystwo aberdeeńskie zostało założone w r. 1890. Fabrykę zbudowano pośrodku olbrzymich paśników i przedsiębiorstw, zajmujących się hodowlą owiec. Trzody, przybywające do rzeźni z większej odległości, bywają wypuszczane na pastwiska na kilka dni i nawet tydzień, ażeby nabrały sił po odbytej podróży. Odpasione są wysyłane do rzeźni, w której czeka na nie zastęp 17 specyalistów, zbiorowo zabijających codziennie około półtora tysiąca sztuk. Zwierzę, rozćwiertowane, po kilkunastu minutach wisi już w śpichlerzu, w którym w ciągu doby powoli stygnie i dopiero później zostaje poddane zamrażaniu. Zakład posiada śpichlerz odpowiedni z czterech działów, w każdym zaś może zmieścić się jednorazowo 800 sztuk. Urządzono te składy według ostatnich wskazówek technologii, mury nie przepuszczają ciepła ani wilgoci. Gdy wchodzimy tam, do ich wnętrza, bucha na nas mgła gęsta, biała i zasłania wszystko, podłoga jest pokryta śniegiem, wszędzie wiszą zlodowaciałe ćwiartki. Panuje tam temperatura 10 stopni poniżej zera, baranina wisi dwie doby i więcej. Gdy stwardniała już dostatecznie, przenoszą ją do innego śpichlerza, obliczonego jednorazowo na 30 tysięcy owiec. Przy każdej czynności technika przyszła z pomocą pracy ludzkiej. Przy ładowaniu mięsa do wagonów, dzięki zastosowaniu odpowiednich środków można wyekspedyować w ciągu 12 minut 500 owiec w stanie zamrożonym.

I nietylko kompanie prywatne zajmują się zamrażaniem mięsa. W Australii rząd tamtejszy zagarnia w swoje ręce możliwe czynności i unarodawia najrozmaitsze gałęzie przemysłu. Między innemi otworzył on w Melbourne *freezing works* — zakład, zamrażający wszelkiego rodzaju wiktuały, wysyłane na rynki europejskie. Zabudowania ciągną się po obu stronach toru kolejowego i przywożone produkty dostają się odrazu do warsztatów, z których są wysyłane w miarę zapotrzebowania na okręty. „Jedynie mięso bywa zamrażano przy temperaturze 18—20 stopni poniżej zera — pisze Leroy-Beaulieu, który zwiedzał świeżo te urządzenia.— Oprowadzano mnie kolejno po składach baraniny, drobiu, kurcząt, kaczek, wreszcie królików. Mięso tam przechowywane jest twarde jak drzewo. Małe zwierzęta, np. króliki lub drób, bywają po 30—40 pakowane do skrzynki i dopiero po upakowaniu zamrażane. Skutkiem tego można zmieścić znaczną ilość mięsa w niewielkiej względnie przestrzeni. Po mięsie oglądałem jaja. Dopiero w roku zeszłym wysłano pierwszy transport tego towaru. Z braku wprawy poddawano je działaniu zbyt nizkiej temperatury i wiele sztuk pękło. Dzisiaj trzymają je w temperaturze cokolwiek wyższej nad zero, pomiędzy 0 a 1°. Układają je starannie w skrzynki tekturowe, każde jaje ma oddzielną przegródkę i jest zewsząd otoczone wojłokiem dla zapobieżenia uderzeniom. Masło naprzód sterylizują i dopiero wysyłają. Dawniej umieszczano miód w blaszankach, ale to źle wpływało na jego gatunek.

Jak więc widzimy, przedsiębiorstwa, trudniące się zamrażaniem wiktuałów, na półkuli południowej zaczęły działać na bardzo wielką skalę. I odpowiednio do ich rozrostu rozwija się tam coraz potężniej produkcya, obliczona na wywóz do Europy i przedtem wprost niemożliwa. Widzieliśmy, jak dzięki wynalazkowi Telliera i innych, w ciągu nieznacznego czasu wzrósł wywóz baraniny z Australii i N. Zelandyi. Z taką samą gwałtownością rozwija się także wywóz masła. Kolonia Wiktorya wysłała w r. 1894 do Anglii 7 tysięcy tonn tego towaru, w następnym zaś już 11. Masło to bywa przygotowywane w fabrykach; mianowicie z ogólnej ilości 12½ tysięcy tonn, wyprodukowanych w Wiktoryi w r. 1893/4, aż osiem tysięcy pochodzi z 133 fabryk tam istniejących. Z wymienionej liczby zakładów 119 posługuje się siłą parową jako motorem — 516 robotników, tam zatrudnionych, wytwarza masła na 5 mil. franków! Rząd zaś, rozumiejąc całe znaczenie wywozu dla dobrobytu kolonii, bardzo troskliwie usuwa wszelkie przeszkody. Zawarł on umowę z przedsiębiorstwami parostatkowemi i zobowiązał je do stałej ekspedycyi tygodniowej podczas lata i dwutygodniowej zimą, nadto wyznaczył taryfy.

Są to wszystko siły nowe, z któremi Europa jeszcze nie miała czasu zmierzyć się należycie. Wywóz z Australii powstał na dobre przed kilku laty i jest obecnie zaledwie w okresie przedostawania się na rynki europejskie. Jego rozwój pozostaje w jak najściślejszej zależności od wynalezienia metod zamrażania. Później lub wcześniej te olbrzymie potęgi wytwórcze, dojrzewające na niezmierzonych przestrzeniach Australii, kierowane przez wielki kapitał i korzystające z najnowszych ulepszeń, muszą zadać nowy cios rolnictwu naszej części świata, które, idąc za radą uczonych agronomów, zaczęło, zamiast produkcyi zboża, zajmować się gorliwiej hodowlą mięsa i wytwarzaniem nabiału. Nie chcemy powiedzieć, ażeby to nastało już za lat parę, ale swoją drogą współzawodnictwo, powstające na półkuli południowej, da się kiedyś we znaki ziemiaństwu europejskiemu.

Na globie ziemskim, w rolnictwie, tej najrutyniczniejszej dziedzinie pracy ludzkiej, zjawiają się siły wytwórcze, dla których za ciasno w szrankach systemu wolnej konkurencyi. Jak potok górski, nieujarzmione, niosą one klęski i zniszczenie.

K. R. Ż.

W DALI.

Łódź. Niedawno przy miejscowym zjeździe sędziów pokoju powstała zupełnie nowa instytucya — rada prawnicza, w której skład wchodzą pomocnicy adwokatów przysięgłych i obrońcy prywatni. Zadaniem ich jest: 1) szerzyć wiedzę śród swoich członków; 2) współdziałać z prezesem zjazdu w kontroli czynności obrońców, 3) zbierać dane o kandydatach na obrońców sądowych. Sprawami rady kieruje komitet, złożony z trzech członków, pod prezydencyą prezesa zjazdu. — W okolicznych majątkach ziemskich powstały gospodarstwa rybne, prowadzone racyonalnie. Największym odbiorcą ryb jest Łódź.— Miejscowy oddział Banku państwa wydał w r. 1895 pożyczek na zastaw ziarna 43, których ogólna suma wynosi 72,000 rs. — Kupcy i przemysłowcy miejscowi postanowili starać się o linie telefoniczne z Łodzi do Piotrkowa i Warszawy. Na ten cel złożą fundusz odpowiedni głównemu zarządowi poczt i telegrafów.

Żytomierz. Zawiązano Towarzystwo techniczne, którego działalność ma się rozpościerać na całym Wołyniu. Powstaje również instytucya opieki nad robotnikami, poszukującymi pracy.— Zaprojektowano budowę oddzielnego domu na gruntach miejskich, który mieścić będzie: przytułek noclegowy, warsztaty, salę przeznaczoną na czytelnię, odczyty ludowe itd. — Wodociągi będą już latem oddane do użytku publicznego.

Petersburg. *Petersb. Ztng.* podaje kilka szczegółów w sprawie zniżenia lub nawet skasowania cła od maszyn. Nieprzychylna postawa, jaką zajął p. minister skarbu w znanej swej przemowie na obiedzie w Niższym Nowogrodzie, nie usunęła tej sprawy z porządku dziennego. Ruch przeciwko cłom tej kategoryi wzmaga się bardzo widocznie, a nawet ogarnia już inne dziedziny, streszczając się w życzeniu, aby żelazo surowe wogóle uwolniono od cła. Obecnie stoi na porządku dziennym pytanie, o ile wysokie cła podnoszą cenę towarów żelaznych. Na baczną uwagę zasługuje fakt, że pomimo wysokich ceł ochronnych wzrósł silnie przywóz żelaza i wyrobów żelaznych z za granicy. W r. 1892 wynosił on 13.4 milionów, a w r. 1894 dosięgnął cyfr 31.1 mil. pudów. W jednym tylko 1894 r. pod postacią cła za te towary odbiorcy zapłacili 26 milionów rubli w złocie (około 39 mil. rubli kredyt.). Według dokonanych obliczeń, całkowity wydatek na żelazo i wyroby żelazne wogóle wynosił w wymienionym roku więcej o 180 milionów rubli w porównaniu z sumą, jakaby wypadła, gdyby cło nie obowiązywało. Z objawów tych zwolennicy zniesienia cła wysuwają logiczny wniosek, że zakłady krajowe nie mogą jeszcze zaspokoić wzmagających się wciąż potrzeb, że przeto kraj ponosi większy wydatek, niżby tego wymagała sama ochrona przemysłu żelaznego.

O PRAWDĘ.

Szanowna Redakcyo!

W nr. 50-ym *Prawdy* była pomieszczoną wzmianka o wypadku w jednej z kopalń Sosnowickich wraz z określeniem przyczyn nieszczęścia. Ponieważ określenie to jest najzupełniej błędnem, uważam sobie, jako stały czytelnik *Prawdy*, za obowiązek przesłać kilka słów sprostowania, zastrzegając się jednak z góry, iż obecnych warunków pracy w kopalniach bynajmniej nie apoteozuję, choćby z tego powodu, iż pewną część wypadków należy rzeczywiście przypisać oszczędności zarządów.

Istnieją dwa sposoby dobywania węgla kamiennego: 1-szy — podsadzkowy, polegający na tem, iż pustkę, powstałą wskutek wybrania węgla, zapełnia się kamieniem, piaskiem lub gliną. Drugi — bez podsadzki, czyli, jak go w Dąbrowie nazywają, system rabunkowy. Otóż większa część napaści, czynionych przez prasę „systemowi rabunkowemu,“ polega na tem, że dla niespecyalisty słowo „rabować“ ma tylko jedno, dobrze każdemu wiadome znaczenie; w języku zaś górniczym „rabować“ znaczy zawalać puste podziemne przestrzenie kamieniem, pochodzącym z warstw leżących bezpośrednio nad wybranym pokładem węgla. Prawo nakazuje „puszczać rabunek“ natychmiast po uformowaniu się, wskutek wybrania węgla, stosunkowo niewielkiej pustej przestrzeni; ażeby umożliwić zapadnięcie się sklepienia, *koniecznością* jest wyjęcie podpór i rusztowań.

Zawalanie opróżnionych podziemi małemi częściami jest musowem, gdyż uprzedza ono tylko olbrzymie zawały, jakim przy utworzeniu się, w miarę postępu robót górniczych, dużych pustych przestrzeni, żadne podpory, żadne rusztowania zapobiedzby nie zdołały.

Jeżeli teraz w stropie pokładu węgla zalegają łupki gliniaste lub kruche piaskowce, częściowe zawalenie odbywa się zaraz po wyjęciu podpór, tj. zupełnie prawidłowo. Jeżeli zaś piaskowiec jest mocny, to trzyma się on długo w piętrze, będąc odsłoniętym na znacznej nawet przestrzeni. Dopiero po pewnym przeciągu czasu, nieraz po kilku miesiącach, cała ta masa skał, miliony pudów kamienia opadają w dół, naporem swoim wytwarzając szalony prąd powietrza, które, wtłoczone w ciasne chodniki, obala wszystko po drodze, nie robiąc bynajmniej wyjątku dla spotkanego człowieka. Taki właśnie niespodziewany rabunek na olbrzymiej przestrzeni był przyczyną ostatniego wypadku w kopalni hr. Renarda w Sielcu pod Sosnowcem.

Środkiem, zapobiegającym podobnym katastrofom, jest urządzanie sztucznych częściowych zawałów za pomocą rozsadzania stropu dynamitem, lecz to pociąga za sobą wielki wydatek na materyały wybuchowe.

Że nie używanie systemu rabunkowego jest wyłącznym powodem licznych wypadków w kopalniach, dowodzi tego proste zestawienie cyfr; kopalnie Paryż i Koszelew są w naszem zagłębiu jedynemi, które używają systemu robót z podsadzką.

Rok 1891.	Ilość robotn. pod ziemią	Ilość wypadków: śmiertelnych	wyleczonych	razem	Na 1000 ludzi wypadków
Paryż	831	3	11	14	16,8
Koszelew	650	4	2	6	9,2
Fanny (hr. Renard)	991	2	27	29	29,2
Saturn	264	2	7	9	34,4
Jerzy (Niwka) .	1510	9	19	28	18,5
Ignacy (Mortimer)	692	2	3	5	7.2
Rok 1892.					
Paryż . .	760	3	10	13	17,1
Koszelew .	550	9	11	20	36,1
Fanny . .	1150	3	36	39	33,9
Saturn . .	606	3	17	20	33,0
Jerzy . .	1134	9	29	37	32,6
Mortimer .	829	4	11	15	17,1

Przyczyny katastrof tkwią więc głębiej, w ogólnych podstawach produkcyi, a nie w tym lub innym systemie robót, nie tutaj ich przeto szukać należy.

Górnik.

KRONIKA.

Uwolnienie. Z Najwyższego Rozkazu P. hr. Szuwałow na własną prośbę z powodu nadwątlonego zdrowia uwolniony od obowiązków generał-gubernatora i głównodowodzącego wojskami okręgu warszawskiego.

Wiadomości społeczne. Na rzecz Towarzystwa dobroczynności w Lublinie wydana będzie jednodniówka p. t. „Bystrzyca.“

— Mieszkańcy Kalisza ofiarowali Adamowi Asnykowi album z widokami jego miasta rodzinnego.

— Przy ministeryum rolnictwa utworzono komisyę, która opracowuje projekt rządowej ustawy emerytalnej dla ludności górniczej, pod przewodnictwem r. t. Keppena. Wyjeżdżał on umyślnie za granicę w celu zbadania spraw, dotyczących zabezpieczenia bytu robotników, dotkniętych wypadkami nieszczęśliwymi.

— Poruszono sprawę utworzenia przy peterburskiem Towarzystwie prawniczem grupy związku międzynarodowego kryminologów.

— W ministeryum spraw wewnętrznych zogniskowano główny zarząd do spraw przesiedleńców.

— Gmina żydowska w Warszawie otworzyła przytułek dla dzieci 2—5-letnich, których rodzice cały dzień zajęci są pracą po za domem.

— Za rogatką Jerozolimską w Warszawie ochrona dla dzieci ubogich otrzyma w r. b. dom własny.

Szkoły. Zatwierdzono szkołę ogrodniczą przy ogrodzie pomologicznym w Warszawie. Ponieważ ma być wzniesiony własny gmach dla tego zakładu, więc szkoła otwarta będzie dopiero 1898 r.

— Na rzecz szkoły technicznej p. Świecimskiego w Warszawie, p. J. Kunitzer z Łodzi złożył 1,000 rs. i zobowiązał się w ciągu trzech lat udzielać po 500 rs. rocznie.

— Zmarły w San-Remo wynalazca dynamitu, Nobel, zapisał na rzecz uniwersytetu w Sztokholmie 50 milionów franków.

— Uniwersytet krakowski wprowadza wykłady hygieny dla kandydatów zawodu nauczycielskiego. Jednocześnie rada szkolna przyjęła propozycyę miejscowego Towarzystwa ogrodniczego co do urządzenia kursów ogrodnictwa dla nauczycieli szkół ludowych i na koszt własny postanowiła wysłać 10-ciu nauczycieli, po dwu z pięciu powiatów zachodniej części kraju.

— Szkoła realna w Sosnowicach rozwija się pomyślnie. W przyszłym roku szkolnym otwarta będzie klasa 6-ta, a następnie 7-ma. Obecnie uczniów wszystkich w pięciu klasach jest 237. Po wakacyach zakład ten pozyska własny gmach, ozdobny i obszerny.

Kasy oszczędności. W tych dniach wprowadzono w wykonanie nową ustawę kas oszczędności przy kantorach i oddziałach Banku państwa, przy kasach powiatowych i gubernialnych, komorach celnych oraz przy niektórych oddziałach pocztowo-telegraficznych. Każdy uczestnik może posiadać po dwie książeczki. z tym warunkiem, ażeby suma wkładu w obu łącznie nie przewyższała 1,000 rs. dla uczestnika prywatnego i 3,000 rs. dla instytucyi obdarowanej. Ponad sumy powyższe przyrastanie procentów ustaje, lecz kasa obowiązana jest zawiadomić o tem uczestnika, ażeby mógł zmniejszyć swój wkład przez podniesienie jego części lub zamianę na papiery procentowe. Można wnosić jednorazowo sumę dowolną, nieprzewyższającą jednak 1,000 rs. dla uczestnika, a dla instytucyi 3,000. Nieletni, którzy sami wnoszą wkłady na swoje imię, rozporządzają nimi jak pełnoletni. Jeżeli wkłady na korzyść pierwszych wnoszą drudzy. z warunkiem wypłaty ich po dojściu do pełnoletności obdarowanych, to sumami temi mogą rozporządzać jedynie rodzice, według własnego uznania. Uczestnik może za życia wymienić osobę, której po swojej śmierci przekazuje sumę. W takim razie pozostaje jednak zupełnym właścicielem wkładu i może go w każdej chwili wycofać. Przy przejściu wkładu po śmierci uczestnika na obdarowane osoby lub instytucye, żadne koszty spadkowe pobierane nie będą, jeżeli suma nie przewyższy 1,000 rs. Jeżeli zaś uczestnik nie zostawił rozporządzenia na wypadek śmierci, to suma wydana będzie prawnym jego spadkobiercom. Uczestnik może przelać swój wkład do innej kasy, w całości lub częściowo, na swoje imię lub dla wydania osobie, którą wskaże: za przekaz płaci po 1 kop. od każdych 10 rs. Przekaz może być telegraficzny, za co dopłaca się koszt depeszy wraz z kopią. Kasy nie mogą nikomu ujawniać nazwisk uczestników, ani też informować o wysokości wkładu i o uskutecznionych obrotach. Procent od wkładów pozostaje bez zmiany, tj. po 3 rs. 60 kop. od wkładów do 1,000 rs. i po 2 rs. 40 kop. od sum przerastających 1,000 rs.

Koleje i komunikacye. Zatwierdzono ustawę towarzystwa w celu budowy i eksploatacyi kolei chińskiej od granicy zachodniej prowincyi Chej-Łun-Tsian do krańców wschodnich prowincyi Giryńskiej. Kolej owa będzie połączona z temi liniami, które rząd rosyjski wybuduje do granicy chińskiej od kolei zabajkalskiej i Południowo-Ussuryjskiej. Towarzystwo powstaje na zasadzie umowy, zawartej 27 sierpnia 1896 r. między rządem chińskim a Bankiem rosyjsko-chińskim. Właścicielami akcyj mogą być tylko poddani rosyjscy i chińscy. Towarzystwo ma prawo eksploatować kolej wschodnią 80 lat.

— Według *Now. Wr.*, szybkość pociągów od lipca będzie następująca: kuryerskich 75 wiorst na godzinę, pośpiesznych 65, pocztowych i pasażerskich 50, wojskowych oraz towarowych pośpiesznych 28. Pociągi, łączące się bezpośrednio z innymi na dalszych odległościach, nie będą się wcale zatrzymywały na stacyach mniejszych i nie będą brały, o ile można, podróżnych, jadących w komunikacyi miejscowej. Natomiast dla tej kategoryi pasażerów służyć ma odpowiednia liczba pociągów miejscowych

Przemysł. Ministeryum skarbu pośredniczy w dostawie próbnych partyj chmielu z Rosyi do Anglii i Ameryki, tudzież poszukuje nowych rynków zbytu dla tego produktu w Afryce i Australii.

— W końcu r. b. ma się ukazać w Warszawie nowe wielkie wydawnictwo p. t. „Rocznik ekonomiczny i statystyczny Królestwa Polskiego.“

Zdrowie publiczne. Dżuma w Bombaju wzrasta. Od czasu ukazania się jej było 2,094 zachorowań, z których 1,494 skończyło się śmiercią.

Sztuki piękne. W galeryi Petita przy ulicy Godot-de-Mauroi w Paryżu, tuż obok bulwaru de la Madeleine, artysta-malarz Czesław B. Jankowski wystawił na cały miesiąc dziesięć dotychczas wydanych oryginałów pastelowych ilustracyj do „Dziadów“ Mickiewicza, cztery ilustracye do poematu pani Zofii Jankowskiej p. t. „Pieśni słowa,“ studyum światłocieniowe, wyobrażające „Anioła, zapalającego nową gwiazdę.“ oraz wielki obraz „Idę...“ (Chrystus-dziecię, idące po spokojnych falach oceanu, pod błękitem nieba).

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu Pawłowi R. Wypadek pierwszy jest zapewnie tylko aktem literackiej grzeczności dla damy. Co do drugiego, to ów „znany psycholog“ jest także znany z płytkich a stanowczych wyroków.

xn. Serdeczne dzięki za życzliwą radę. która może się przyda.

Górnikowi. Prosimy.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 19 Декабря 1896 г. Druk K. Kowalewskiego. Warszawa ul. Mazowiecka, Nr. 8.